

TYGODNIK LITERACKI

Nr 7 ■ Rok I ■ 4 LISTOPADA 1990

ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

w numerze: **GRYNBERG □ MATYWIECKI □ WIESEL □ WOJDOWSKI**
oraz: **BARANOWSKA, KALICKI, KNITTEL, RUTKOWSKI, WĘGIELEK, ZIELIŃSKI, ZWINOGRODZKA**

Zastanawiające, jak często Miłosz sięga do swoich lektur z dzieciństwa: *Gucio zaczarowanego*, *Doktora Mucholapskiego*, a ostatnio do *Roku myśliwego Korsaka*. Jest w tym potrzeba akceptacji kształtujących impulsów, tekstów poprzez które zostały po raz pierwszy uchwycone ważne linie życia. Tytuł jego najnowszej książki *Rok myśliwego* zawiera w sobie domieszkę żartu, potrzebną by zachować dystans. Na ład świata wskazuje słowo „rok”, na „ja” słowo „myśliwego”.

Pomysł dziennika z jednego roku (akademickiego 1987/88) nie jest u nas czymś nowym (Konwicki, Brandys). W tym, mało jest stosunkowo współczesnych wydarzeń, więcej dawnych i całkiem świeżych wspomnień o ludziach: o Janie Pawle II, Głuchowski, Iwaszkiewicz, Pruszyński, Józefie Mackiewicz, Karolu L. Konińskim (to reminiscencje z lektury), Jeleńskim, Jeanne Hersch, Leonie Schil-

nego konserwatyźmu. Kultura polska właśnie wtedy powoli zaczęła wychodzić z kokonu dziewiętej dekady (to dzieje się teraz), sama sobą zdziwiona, nie znająca koloru, deseni, rozmiarów ni mocy swoich skrzydeł, wiedząca jednak, że ma skrzydła.

Sytuacja Miłosza była w owej dekadzie szczególna. Na początku, w roku 1980, dostał Nagrodę Nobla jako trzeci z polskich pisarzy. W 1981 przyjechał w sławie laureta do kraju, witany z entuzjazmem należnym komuś usytuowanemu między wieszczem, papieżem a ludowym trybunem. Znany był dobrze poetom, intelektualistom, obcy szerszej publiczności, bo Nobel, ogłoszony przez radia i telewizory, był jeszcze jednym cudem, jaki Bóg sprawił umęczonemu ojczyźnie. Potem Miłosz stał się autorytetem, wzorcem, ucieleśnieniem cnót i tradycji, wielkim duchem Emigracji, uznanym przez świat (a Mickiewicza kiedyś nie uznali, Słowackiego nie uznali, Norwida nie

dekady, także ta łącząca różne poziomy odbioru sztuki. Nadal zwracano się do Miłosza jako do narodowego poety, a Miłosz zdecydowanie nie lubił tego słowa. Wiązał je z przedwojenną endecją i z ONRem, z okupacyjną retoryką akowską (czy gorzej – z imperialną retoryką „Sztuki i Narodu”). Jako ideał wybierał wielonarodowość i międzynarodowość. Wspominał Wilno, gdzie mieszkali katolicy, prawosławni, masoni, ateści, karaimi, mahometanie, Litwini, Polacy, Żydzi, Białorusini. Różne kultury miały tam bogate podłoża, lecz w tym, co było w nich rzeczywiście głębokie, były dla siebie wzajem niedostępne. Mierzyły go „prawicowe skłonności, obrzędowy katolicyzm, brak intelektualnych zainteresowań”, rzeczywiście – jak pisze – czy urojeni przeladawcy-Lechici.

Stereotyp Lechity: mieszka na brzydkiej mazowieckiej równinie, prawicowy i biedny; ratuje się dobrym wyobrażeniem o sobie, zam-

knięty w swojej szlachetności i w tym zaściankowy. Oczywiście są „Lechici” wybitni. Patronuje im Norwid, zamknięty w swojej etnocentrycznej dobroci i przez to nieprzetłumaczalny. Wielkie Księstwo zaś, przeciwstawione koronarskim Lechitom, reprezentuje Mickiewicz (jakby Mickiewicz był tak świetnie przetłumaczalny na obce języki i obce doświadczenia – nie o to więc chodzi).

Katastrofa roku 1945. Armia Czerwona i NKWD wkroczyły do Polski, zdawało się, że przegrał cały świat, nie mając siły, także ideowej siły, aby przeciwstawić się komunizmowi. Podpisywano cyrografy. Miłosz podpisał dość wcześniej. „Odrodzenie” Borejszy czy – przede wszystkim – „Twórczość” Wyki, to punkty orientacyjne cyrografu, na jaki się godził. Można było zachować poziom i horyzonty, strzec właściwej hierarchii w sztuce. *Ocalenie*

dokończenie na s. 9

Jacek Łukasiewicz

Przeciwko Lechitom

lerce. Ludzie – punkty orientacyjne. W nich skupiają się problemy. Przeszają wtedy być abstrakcyjne lub nadmiernie subiektywizowane. To rok śmierci żony, obrachunków z własnym życiem. Ileż spotkań w owym roku przez autora znajomych zbliżało się do dziesięćdziesiątki, albo już ją przekroczyło! Otwierają się furtki, wcześniej zamknięte czy ledwie uchylone. Nie ma ekshibicjonizmu, lecz są wyznania dość surowe i dość celowe (w odsłaniającej szczeroci), by wydobywały sprawy ważne nie tylko dla twórczości Miłosza.

Rok 1987/88 – w Polsce narastało przycięgnięcie, poczucie bezwyjściowości. Okres przejściowy po 13 grudnia trwał już bardzo długo, nie wiadomo było, jak się zakończy i kiedy. Wcześniej duchowe, artystyczne reakcje na stan wojenny straciły energię, stały się anachronizmem lub wyrazem cias-

uznani...). Wszedł do edukacji szkolnej, głównie „alternatywnej”, antykomunistycznej, patriotycznej, podziemnej, czytany tam obok wierszyków z katechizmu Bełzy. (Inni, odkryci wtedy: Gombrowicz i Hłasko do tego się nie nadawali). W ciężkim okresie wspierał Miłosz swoim autorytetem solidarnościowe komitety, podpisywał protesty. Czuł, że jego sytuacja jest poniekąd fałszywa, że ma „gębę”. I na nic się nie zdadzą sprostowania i protesty, bo sytuacja jest fałszywa właśnie *poniekąd*. On rzeczywiście solidaryzował się z „Solidarnością”, i to on przetłumaczył słowa „Pan da siłę swojemu ludowi” – napis na pomniku w Gdańsku.

Poeci i uczestnicy pogłębionej lektury zwracali się ku niemu, bo wierzył w obiektywność świata, powagę kulturowych instytucji, metafizycznych tradycji, w poważną dykcję i wzorzec dobrej strofy. Ale w roku 1987/88 wyrażenie skończyła się moralna jedność z początku



EDWARD DWURNIK, *Antypracy* (fragment)

twarz tygodnia

bya smutna. Kąciki ust opuszczone ku dołowi, wzrok zamglony. Taki wyraz zwykła przybierać, gdy ma dojmującą świadomość, że nie jest dobrze. Świadomość ta ma źródło w opublikowanym przez „Po prostu” tekście Włodzimierza Odojewskiego „Hieny”. Tekst ten dotyczy sprawy ogromnie ważnej, sprawy poszanowania obcych cmentarzy na naszych ziemiach. Sprawy szczególnie doniosłej w Dzień Zaduszny.

Ten dzień miał dla mnie zawsze konkretny zapach. Była to mieszanina woni podgniętych liści, kopających zniczy i zmrożonych chryzantem. Lubilem ten zapach. Teraz, po lekturze Odojewskiego podejrzewam, że włączają się jakieś inne wapory: wstydu, goryczy, bezsilności. A przecież od dawna o wszystkim wiedziałem. W pewnym mieście widziałem zaorany – przez hitlerowców – kirkut z pamiątkową tablicą: „Nie uszanowali nawet cmentarza”. Zaś naprzeciw zaorany cmentarz ewangelicki, zaorany polskim pługiem i bez żadnej już tablicy. Widziałem cmentarze różnych wyznań traktowane jak kamieniołomy. Widziałem, wiedziałem, nie chciałem pamiętać.

Tekst „Hieny” boleśnie mi o tym przypominał. Poszerzył też moją wiedzę o przykłady tak wstrząsające, tak odrażające, że pióro cofa się przed ich przytaczaniem. Autor powiada, że stosunek do cmentarzy jest probierzem naszej europejskości – tu pełna zgoda. Z tego, jak się zachowujemy, można wnosić, że jesteśmy Azjatami – i tu zgody nie ma. Nie obrażamy Azjatów. W czerwcu 1900 wybuchło w Chinach powstanie „Bokserów”. Bezpośrednim powodem tego buntu była budowa kolei żelaznej. Ci, którzy wytyczali jej bieg, prowadzili ją przez cmentarze. Naruszenie spokoju zmarłych uznali Chińczycy za casus belli, a raczej za godny i wystarczający powód do buntu. Z tekstu Włodzimierza Odojewskiego mogę wnosić, że do Azji nam jeszcze bardzo daleko. Jedyną jasną plamą na tej wielkiej płachcie kuru jest postać autora. Dbał o zabezpieczenie śladów pod Smoleńskiem, trudzi się też nad tym, a by i w dorzeczu Wisły były one bezpieczne.

W „Gazecie Wyborczej” ukazał się obwiedziony prawie nekrologową ramką anons Jana Chodakowskiego o zakończeniu działalności Wydawnictwa Polonia. Założył je w 1959 roku Andrzej Stypułkowski i trzydziści jeden lat książki tej oficyny towarzyszyły nam dzielnie. Rozumiem, że wydawnictwa emigracyjne to pewna anomalia. Rozumiem, że powracamy do normalności. Smutno, że przez tak bolesne amputacje. I szkoda, że informację zamieszczono w dziale ogłoszeń, czyli tam, gdzie zainteresowani kulturą ludzie nie zaglądną. Co prawda posiada „Gazeta” kolumnę kulturalną, ale przecież wydarzenie tej rangi znaleźć na niej się nie mogło.

W sytuacji prasy też niewesoło. Planuje się oddanie „Expressu Wieczornego” Porozumieniu Centrum, zaś „Sztandar Młodych” KPN-owi. Ja, wraz z moimi towarzyszami nauki z przedszkółka TPD nr 6, z ogromną starannością rozróżnialiśmy dwa typy przelewania tytułu własności: cesja trwała, „na zawsze” i cesja czasowa – „na potrzymać”. Otóż oba te tytuły mają zostać przekazane partiom politycznym „na potrzymać”. Po wyborach mają pójść pod przetargowy młotek. Nim do tego dojdzie, odepjdzie część zespołu redakcyjnego i część czytelników. Będą to zupełnie inne pisma. Takie postępowanie to ich świadome niszczenie. Niewesoło.

W „Polityce”, w tekście Mariusza Janickiego „Droga bezpłatna nauka” przeczytałem takie oto zdanie: „Jeszcze w 1970 roku, uwzględniając liczbę mieszkańców, mieliśmy więcej studentów niż RFN, obecnie mamy ich dwa razy mniej”. A przecież wielu absolwentów przez te dwadzieścia lat emigrowało, choćby i do tego RFN.

Durniejemy, chamiejemy – smutno.
FIZJONOMISTA

Jury Fundacji Nagród Literackich im. Barbary Sadowskiej w składzie: Jacek Bocheński, Jerzy Ficowski, Julia Hartwig, Jan Józef Lipski, Artur Międzyrzeczki i Andrzej Szczypliowski przyznało roczną nagrodę grupie polskich poetów z Wina za dotychczasowy dorobek twórczy. Laureatami są: Henryk Mażul, Romuald Mieczkowski, Wojciech Piotrowicz, Anna Rybałko i Józef Szostakowski. ■ Stowarzyszenie Pisarzy Polskich wznowiło tradycyjne czwartki literackie. W Domu Literatury w najbliższym czasie odbędą się spotkania z Marianem Brandysem, Ryszardem Kapuścińskim i z pisarzami emigracyjnymi. ■ W kioskach „Ruchu” będzie można kupować niezależny dwutygodnik „Znad Wili”, którego wydawcą jest Czesław Okińczyc, a redaktorem naczelnym Romuald Mieczkowski. ■ Pismo „Ex libris—the Polish and East European Review of Books” (dlaczego po angielsku) ukazuje się jako bezpłatny dodatek do „Życia Warszawy” i „Czasu” krakowskiego. ■ Wydano reprint książki *Orletem – przewodnik po cmentarzu obrońców Lwowa* (Lwów 1934). Warto mieć w swojej bibliotece. ■ 22 X o godzinie 18.00 odbyło się otwarcie wystawy prac Jana Bokiewicza *Druki*. Wystawą tą wznowiono po dziewięćletniej przerwie działalność Galerii Krytyków (Krakowskie Przedmieście 20/22). Ekspozycja bardzo ciekawa – okładki książek, plakaty i pocztówki projektowane przez artystę związanego przez wiele lat z podziemiem. ■ Do 18 XI w warszawskiej galerii Kordegarda oglądać można prace Andrzeja Czeczota (Tchetchota?), który od 1982 roku mieszka w Nowym Yorku. Rysownik faworyzujący czerń i biel sięgnął po pędzel. Kolorowe. ■ 26 X o godzinie 18.00 w Małej Galerii (Plac Zamkowy 8) można było uczestniczyć w otwartej konferencji prasowej, pokazie video oraz wystawie informacyjnej *Fotografika polska – wystawy zagraniczne w 1990*. Dużo. ■ W dniach 26, 27, 28 X Centrum Sztuki Współczesnej (Zamek Ujazdowski) proponowało udział w międzynarodowych

przegląd kulturalny

spotkaniach artystycznych *Videoperformance* (performance oraz zapisy video). Bardzo interesujące propozycje Zygmunta Rytki. Reszta? – no comments. ■ Na zaproszenie teatru Akademia Ruchu przyjechał do Warszawy teatr-studio De-revo z Pragi ze spektaklem *Nlechęć do geometrii*, który został zaprezentowany 26 i 27 X w kinie-teatrze Tęcza. Reżyserem przedstawienia i założycielem zespołu jest Anton Adasiński, były aktor teatru Licedej z Leningradu. Spektakle: improwizacje, bunt przeciw konwencjom, poezja i groteska. ■ W dniach 17–21 X odbyła się impreza artystyczna *Praktyki teatralne wobec ekologii*. Organizatorem i gospodarzem był Ośrodek Praktyk Teatralnych Gardzienice. Przyjechali studenci i specjaliści, prowadzono warsztaty teatralne i dyskusje. Odbył się także pierwszy publiczny pokaz przedstawienia *Carmina Burana*. ■ *Przesłuchanie* Ryszarda Bugajskiego otrzymało nominację do Felixa – europejskiej nagrody filmowej w kategorii najlepszego filmu, kreacji aktorskiej (Krystyna Janda) i scenariusza. ■ *Serial 777* – Francis Ford Coppola zdecydował się dokończyć opowieść o rodzinie Corleone – *The Godfather, part III*. John Avildsen zrealizował piąty odcinek przygód wielkiego Rocky'ego. Po co? ■ Andrzej Wajda powiedział, że bohaterka filmów *Człowiek z marmuru* i *Człowiek z żelaza* otrzymała imię na cześć Agnieszki Osieckiej. Co na to Agnieszka Holland? ■ Bez obawy o stracony czas i pieniądze można się wybrać do kina na *Stowarzyszenie umarłych poetów, Ucieczkę z kina „Wolność”, Sex, kłamstwa i kasetę video*. ■ 28 X odbyły się wybory

w PWST im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie na stanowisko rektora. Było dwóch kandydatów: Gustaw Holoubek i Jan Englert. Znaczną przewagą głosów wygrał Jan Englert. Na stanowiska prorektorów powołani zostali Henryk Hinz, Henryk Jurkowski, Piotr Cieślak. ■ Nowa dyrekcja Teatru im. Słowackiego w Krakowie nie zajmuje się wyłącznie pilnowaniem robotników, aby zdążyli wyremontować teatr przed przyszłoroczną konferencją KBWE w Krakowie. Dyrektor Jerzy Goliński wyreżyserował *Burzę* Szekspira we własnym przekładzie ze scenografią Pawła Dobrzyckiego i muzyką Marka Wilczyńskiego. Przedstawienie ogląda się siedząc na scenie za żelazną kurtyną. Jedyna okazja, żeby zobaczyć teatr od tyłu. ■ Na Scenie Kameralnej Teatru Starego trwają próby do światowej prapremiery sztuki Janusza Głowackiego *Fortynbras się upił* w reżyserii Jerzego Stuhra. Premiera (10 XI) będzie pierwszym przedstawieniem teatru pod nową dyrekcją Tadeusza Bradeckiego. ■ Jury IX Międzynarodowego Triennale Grafiki we Frechen (RFN) podkreślając wysoki poziom prac nadesłanych z Polski, z 324 artystów biorących udział w konkursie nagrodziło 10, w tym Marcina Surzyckiego z Krakowa i Jerzego Jędrysiaka z Zakopanego. ■ Cykl nowych rysunków Jerzego Nowosielskiego zatytułowany *Maski i nagość* można oglądać i rozszyfrowywać (zgodnie z komentarzem autora, że rysunek jest tekstem i hieroglifem) w Galerii Starmach w dniach 25 X–17 XI. ■ (Łódź – 29 X na scenie łódzkiego Teatru Rozrywki oglądać można było spektakl *To śpiewała Ordonka* przygotowany przez warszawski Teatr Powszechny. ■ 27 X odbył się finał wyborów Mister'90. w Teatrze Wielkim w Łodzi. Panowie prezentowali swoje wdzięki w pidżamach, strojach sportowych, strojach kąpielowych i garniturach. Miau! ■ 25 X w Centrum Informacji Kulturalnej w Łodzi odbyło się otwarcie wystawy fotografii secesyjnej Jacka Poręby. ■ Bestsellery niestety te same co w zeszłym tygodniu.

M.M.

artykuł polityczny

JAK WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI, FELIETONISTA MINIONYCH, OBECNYCH I PRZYSZŁYCH PISM LITERACKICH, „TYGODNIKA LITERACKIEGO” NIE WYŁĄCZAJĄC, UZASADNIŁBY PRYZNANIE MICHAŁOWI GORBACZOWOWI POKOJOWEJ NAGRODY NOBLA

Rosja jest jak niezapisana karta, zapisał w notatniku podróży podróżnym Odyńca podczas przeprawy kibitką przez stepy akemańskie Mickiewicz. Śnieg wyostrza jasność widzenia. Mój nieodżałowany Profesor 22 marca podczas wiosennych roztopów zauważył: „W ogromnej większości wypadków myśl efektywna bywa tylko dlatego, że nie jest przemyślana do końca”. Wbrew postanowieniu Elzenberga myśl polska jest dualistyczna: proponując jej wybór między Wałęsą a Mazowieckim powtarzamy jedynie stary humanistyczny spór – walkę Karnawału z Postem. Tańczący Sylen w gotyckiej katedrze zawsze będzie przypominał świętego Wita. Może dlatego najlepszym szefem kampanii wyborczej Mazowieckiego byłby wielki mistrz kuchni Curnonsky, a Wałęsę Budda. Wieczni wędrowcy unoszą ojczyznę

na podszewkach stóp. Franciszek Boas – uciekający z paszportem Jakobsona z Genewy, kiedy róż na powiekach niewinnej Cekanii zamienił się w lunę – aby dowieść nieprzekładalności kultur przywołuje mnogość nazw śniegu u Eskimosów. Eskimos to, ze względu na aliterację, skoszona trawa o zmierzchu.

Sławne pytanie Yorricka „to be or not to be?” na rozległych przestrzeniach Rosji obraca się w czechowskie „diadla, jak żyć?”, skoro jedyną godną *Króla Lira* tragedią okazały się tam *Trzy siostry*. Był od tych pytań wolny markiz de Custine, którego dzieje zaczynają się od porzucenia go nago przez żołnierza w fosie, choć według definicji Konrada Adenauera „historia jest sumą rzeczy, których można unikać”. Padał heterosemanticzny śnieg, a Rosja, jak i on, nie obróciła jeszcze dziejów w historię.

Otworzyły się przed nim jej niezmierzone na staję i wiorsty obszary, bo w Polsce niszczycielska pamięć pusztoszy życie na terenie o wiele większym. Maria Antonina do końca wysyłała swoim rosyjskim krewniakom ciasteczka.

Borys Pasternak jeszcze niedawno wychylał się z okna, żeby zapytać, jakie na dworze tysiąclecie. Napięcie między historią a dziejami dalej zatrzymuje się w Rosji na uchylonym łufciku, nie darmo łufcik nazywa się po francusku „vasistas”. Trudno się dziwić, że wiecujący pod Bramą Brandenburską młodzi Niemcy mieli w kłapy wpiętą nie Matkę Boską, lecz portrety Gorbiego, którego pomylili z Goethem.

Uświadomiona wolność staje się koniecznością. Inkwizytorzy wszystkich epok, dociekliwi jak pozbawiający ubrania markiza de Custine'a żołnierz, szukali na ciele ukrytego diabelskiego znamienia. Znamię na czole Michała Gorbaczowa jest jawne. Gdy wpatrywać się długo w jego portret, coraz bardziej zaczyna przypominać ono zarysem Europę Wschodnią. Nie przypadkiem mistrz Dante, chcąc oddać wrażenie chłodu panującego w dziewiątym kręgu, osiąga to używając słowiańskich nazw i dźwięków.

Tadeusz Komendant

P rypominam sobie Barassy i moje tam dzieciństwo. Żydowski dom, na żydowskiej uliczce, wciśniętej w żydowską dzielnicę. Parafrazując naszego wielkiego poetę I.L. Pereca, można by powiedzieć: u nas w Barassy nawet rzeka mówiła po żydowsku; i drzewa miesiąc po miesiącu pyszniły się lub skarżyły w jidysz; słońce wstawało by wyprawiać żydowskich uczniów do hederu, kabalistów zaś do rytualnych kąpiel. Czas płynął według rytmu i okresów wyznaczanych przez Torę. Odpoczywało się siódmego dnia. W Paschę jedzono macę, poszczono w Dniu Pojednania, upijano się z okazji Święta Namiotów, zapalano świece na pamiątkę zwycięstw i cudów sprzed tysiącleci; modlono się o odbudowę Świątyni, której ruiny smuciły nas. Król Dawid i jego Psalmi, Salomon i jego Przypowieści, Eliasze ze

Prezentowany poniżej tekst jest fragmentem książki *Le testament d'un poète juif assassiné*, francuskiego pisarza i eseisty, laureata Pokojowej Nagrody Nobla (1986) ELIE WIESELA. Główny bohater, Paltiel Kossover spisuje swoje wspomnienia na życzenie urzędnika prokuratury, siedząc w sowieckim więzieniu.

Elie Wiesel

Z testamentu Paltieła Kossovera

swymi towarzyszami, Beszt oraz jego uczniowie mieszkali pośród nas. Rabbi Akiba, Rabbi Symeon, bar Johai i mały Rabbi Zeira z Babilonu stanowili część naszego rodzinnego krajobrazu; słuchałem ich, rozmawiałem z nimi, bawiłem się z ich dziećmi; żyjąc w przeszłości zaczęliśmy się o teraźniejszość.

Kiedy skończyłem trzy lata, ojciec owinął mnie w swój ogromny, ciężki szal – tafaes rytualny i zaniósł do Reb Gamliela – Opiekuna, którego groźna mina, gęste brwi i potargana broda napawały prawdziwym strachem. Było nas dziesięcioro lub dwadzieścioro dzieci – nie umiałem wówczas jeszcze liczyć – mieliśmy nauczyć się wyśpiewywać święte i wieczne litery, z pomocą których Bóg podobno stworzył wszechświat – zaś my, Jego przeciwnicy, zażarci racjonalści myślimy że z ich pomocą potrafimy go wyjaśnić. Leniuchy drżały każdego ranka, inni też. Reb Gamliel nie wahał się trzasnąć biczem po plecach swych krnąbrnych i nieuważnych uczniów, których oskarżał o próżniactwo, nieróbstwo a nawet o bandytyzm, czemu nie... Jak ja umiałem nienawidzić będąc trzyletnim dzieckiem... Jednak teraz, kiedy robię bilans tych odległych lat, wspominam mego starego opiekuna z nostalgią i serdecznością.

Tylko mi nie mówcie przede wszystkim, że to normalne, nie mówcie mi, że Żydzi lubią cierpieć. Nie jesteśmy aż takimi głupcami. Jeśli z czułością myślę o starym, poczciwym człowieku, który niegdyś sprawiał mi ból, to nie z miłości do cierpienia, lecz z miłości do wiedzy. Powiedziałbym nawet, że wówczas nienawidziłem Reb Gamliela i wszystko, co uosabiał; nauczanie strachu, przymusową naukę, to duszące więzienie, w którym słowa obdarzone jakąś wrogą siłą rozrywały i kaleczyły mózg.

Co wieczór wracałem w płaczem. Przed ojcem oczywiście ukrywałem łzy. Nigdy nie ośmieliłbym się pokazać mu, że taka nauka budzi we mnie odrazę, że boję się tego, który mi jej udziela. Folgowałem sobie tylko przy matce. Ponieważ ojciec często zostawał dłużej w sklepie – handlował tkaninami – miałem do dyspozycji godzinkę lub dwie na zatarcie śladów mojej udręki. Matka, żeby mnie pocieszyć, śpiewała smutne kołysanki: pod kolebką śpi z kóz żydowskie dziecko i pływają nań łzy pięknej i czulej wdowy zwanej Sion... matka mówiła mi:

– Naucz się tych słów, które dziś ukołyszają cię do snu; jutro będą ci śpiewały. Stopniowo przyzwyczajałem się do tego rytmu życia; w dzień płakałem, uśmiechałem się wieczorem. Trwało to dwa lata, dwa lata smutku i tłumionej złości: dwa-

dzieścia dwie litery alfabetu naigrywały się ze mnie; oswajałem się z nimi niechętnie.

Kiedy opuściłem Reb Gamliela dla bardziej uczonego opiekuna, zdałem sobie sprawę, że nie wyzwoliłem się od strachu, że przywarł on do mojego ciała, do mojego życia. Zrozumiałem też, że nie ja jeden go doznaję: moi rodzice także byli naznaczeni jego piętnem, podobnie ich przyjaciele i wszyscy Żydzi z sąsiedztwa i z dzielnicy: wszyscy pogrążeni byli w strachu. Wszyscy się bali, oczywiście nie Reb Gamliela lecz świata, który nas

wiedziałem wówczas jeszcze obywatelu urzędniku, że cisza może się przeistoczyć w mękę. Zastanawiałem się nad tym nawet tutaj, przed kilku tygodniami albo laty a może i przed kilku wiecznościami, kiedy uznaliście za pożyteczne i korzystne zamknąć mnie w karcerze. Cisza jako źródło i potencjał wrogości oraz zagrożenia. Jej gęstość, ciśnienie, jej gwałtowność wydawały mi się znajome (...)

Pamiętam ciszę wznoszącą się niczym mur, dzielącą dwa obozy, ciszę przekraczającą swe własne granice, by stać się wszechobecną, by stać się Bogiem.

otaczał, przed którego mrocznymi niebezpieczeństwami drżał nawet sam Reb Gamliel.

Pamiętam, był wieczór Świąt Bożego Narodzenia. Gdy zwolniono mnie z odmawiania minchy, pytam matkę o przyczynę. Wyjaśnia mi: tego wieczora aż do jutrzejszego ranka zabronione jest studiowanie naszych świętych tekstów. Dlaczego? Nie wie. Zdobywszy się na odwagę, zwracam się do ojca, który wie wszystko.

– Noc ta, odpowiada, oznacza nieszczęście; lepiej nie pokazywać naszych ukrytych skar-bów.

Później dowiedziałem się, że właśnie tej nocy na całej chrześcijańskiej ziemi wrogowie Żydów urządzali uliczne polowania, by ich ukarać w imię swego Pana i Jego miłości; roztropniej było nie iść do szkoły, nie udawać się do domów nauki i modlitwy; ostrożność nakazywała, by Żydzi pozostali tego dnia w swoich domach.

Rosłem, dojrzewałem i rozumiałem coraz lepiej: być Żydem w świecie chrześcijańskim to znać strach i oswoić się z nim. Bojaźń w obliczu nieba i jeszcze większa w obliczu ludzi. Strach przed życiem i strach przed śmiercią – strach przed wszystkim, co dyszy za ścianą, przed wszystkim, co czai się po drugiej stronie. Ciężko na nas ponure niebezpieczeństwo, na każdym z nas. Nabierało kształtów, zbliżało się. Po raz pierwszy miałem stać się świadkiem pogromu, miałem go doświadczyć i przeżyć. Ile miałem wtedy lat? Już nie pamiętam.

Prypominam sobie tylko, że było to przed I wojną światową. (...)

Jeśli Bóg chce, wszystko jest możliwe; jeśli Bóg chce: mój ojciec miał na myśli tylko te słowa. Ufał Mu; był przekonany, że wola boska nie może być ograniczona. Ale jak ustalić, co Bóg chce, a czego nie chce? Przypuśćmy, że nieprzyjaciel nas odnajdzie, czy będzie to oznaczać, że Bóg tak chciał? W mej dziecięcej głowie bez końca kłębiły się pytania, lecz nie miałem prawa ich zadawać. Należało milczeć, oddychać jak najciszej, trzymać w pogotowiu chronione przez ciszę zmysły. Nie

Wygląd naszej ulicy opisano nam już po huraganie, po trzęsieniu ziemi. Opustoszałe ulice. Zamknięte okiennice, opuszczone żaluzje. Noc w środku dnia. Tu i tam przechadzał się leniwie kot śledzony tysiącami niewidzialnych spojrzeń. Zarżał koń a tysiące uszu nasłuchiwało, tysiące piersi wznosiło się i opadało, tysiące głów pękało, tak jak moja.

Płynęły powolne i ociężałe godziny. Denerwujące. Oczekiwanie na niebezpieczeństwo, przewidywanie nieszczęścia, czy wiecie, co to jest? Czy wiecie obywate-



TADEUSZ BRZOSOWSKI

lu urzędniku, co to znaczy czekać na masakrę, wy, którzyście nigdy nie czeka-li?

Moja matka rozdała nam placuszki, które zdołała, nie wiem jak, zrobić i zapakować do szmacianej torby; jedynie trzech studenci byli skłonni je spróbować. Ojciec nawet ich nie tknął. Ja również.

Później słońce znikło i było tak, jakby nagle opuścił nas przyjaciel. Ojciec szepnął:

– Teraz jest godzina minchy. Mężczyźni recytowali modlitwy tak ci-

cho, że nic nie słyszałem. Nastąpiła zupełna ciemność; dotknąłem ramienia mojej matki, by upewnić się, że mnie nie opuściła.

– Paltiel! Odmawiaj Szema Izrael! – rozkazał mi ojciec w przyplwywie natchnienia. To, że nieprzyjaciel jest blisko nie znaczy, że możesz oddalić się od Boga.

Posłuchałem. Umiałem tę modlitwę na pamięć – znam ją jeszcze by recytować każdego ranka i każdego wieczoru. Reb Gamliel twierdził, że odpęda ona demony; mieliśmy się o tym przekonać.

Nagle wszyscy znieruchomieli. Z dzielnicy żydowskiej dobiegały dziwne odgłosy, zrodzone a raczej wyrzucone z ciszy. Moje serce – a może serce mojego ojca? – biło tak mocno, że groziło rozbudzeniem całego miasta. Nieznane miało się nam objawić, miało zawładnąć moją wyobraźnią i zniewolić ją. Miałem zobaczyć

do czego są zdolni ludzie. Ich obłęd miał wdrzeć się w nasz świat, obłęd czarny i tchnący nienawiścią, obłęd dziki, spragniony krwi i śmierci. Zbliżał się powoli, podstępnie, licząc kroki niczym milcząca bestia, która krąży wokół zdobyczy pokonanej zawczasu przez strach.

Wtem rozszalał się. Dobywający się z wnętrzości krzyk rozdarł ciszę i ciemności. *Śmierć Żydom!* Podjęły go niezliczone gardła. Dotarł do przedmieść, potem gdzieś za lasy, aż na koniec świata. Przeniknął drzewa i kamienie, rzeki i skały, niebo i piekło, anioły i bestie potwórzyły go z jękiem lub rechotem, by złożyć w darze u stóp niebiańskiego tronu na pamiątkę wydarzeń, które przybrały zły obrót, na pamiątkę porażki w hierarchii stworzenia... *Śmierć Żydom!* Nagle właśnie owe dwa słowa spośród wszystkich innych, których używają ludzie znaczyły coś, coś bardzo rzeczywistego, prawdziwego, bezpośredniego. Słyszając je, ulegając im, czując jak zagłębiają się w mój mózg, doznawałem bólu uszu, bólu oczu, bólu całego ciała. Nie mogłem opanować drżenia; przytuliłem się do matki; przycisnąłem mnie do serca i chyba z mojego powodu zaczęła mieć dreszcze. Pragnąłem czuć rękę ojca na mej głowie lub ramionach, ale siedział trochę dalej, zbyt daleko. W gruncie rzeczy tym lepiej, bo wstydzilibym się przed nim przyznać do mojej słabości. A poza tym, czemu to by miało służyć? Woląłem raczej ukryć się. Chciałem być sparaliżowany albo martwy. Zęby mi szczękały i byłem przekonany, że robię większy hałas niż pogrom na zewnątrz.

Dosięgnął on już i naszej ulicy. Okrzyki przerażenia, charkot, przejmujące głosy gwałconych kobiet, wołania o pomoc. I wrzaski grabieżców, morderców, ludzi odzierających trupy. Ich nienawiść i radość spadały na nasze domostwa. Kto jeszcze żyje, a kto już przestał żyć? Przychodziły mi do głowy modlitwy odmawiane w Dniu Pojednania: ktoś – Bóg? – przeglądał swój rejestr, jedno imię niosząc, usuwając drugie.

Tumult był coraz bliżej i oto już na naszym podwórzu już w naszym domu. Zgiełk. Powybijane szyby, pothuczone naczynia, szafy roztrzaskane kilkoma uderzeniami siekiery. *Śmierć Żydom, śmierć Żydom!* Głos jakiegoś wściekłego pijaka: „Hej, parchy, gdzie się chowacie? Wyłażcie, niech zobaczymy wasze brudne mordy! – Uciekli! – A to świnię, łajdaki! Jakiś inny głos: „Ależ oni są gorsi niż... Gorsi niż zwierzęta! Zabrali pieniądze!” Pierwszy głos: „Tacy właśnie są Żydzi. Tylko pieniądze ich interesują!” Inny głos: „Tak nas wykiwać, nas!” Jeszcze inny głos: „A

dokończenie na s. 4

Wilkanowicz uczestniczył w spotkaniu młodych Niemców z grupą młodzieży krakowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej przy komorze gazowej w Brzezince. Spotkali się na „wspólny dzień skupienia – modlitwę w nocy i pracę w dzień”. Była to „ciężka próba dla Niemców i niełatwa dla Polaków”, pisze Wilkanowicz, ale wytrzymali ją i zaśpiewali wspólnie „Do-na nobis pacem”. Współpraca z zachodnio-niemieckim Pax Christi też rozpoczęła się od „seminarium oświęcimskiego”. Oświęcim zrodził także niemiecką organizację Maximilian Kolbewerk, pomagającą byłym polskim więźniom obozów koncentracyjnych. Patron tej organizacji z dużym powodzeniem prowadził w latach trzydziestych propagandę prasową przeciwko Żydom, lecz na spotkaniach Niemców i Polaków w Oświęcimiu „problem żydowski jakby nie istniał”, pisze Wilkanowicz. Nawet przy komorze gazowej w Brzezince, gdzie wspólnie śpiewali do Boga.

„Żydzi byli, zginęli – można żałować i współczuć albo oddychać z ulgą (podkr. HG) – ale co można zrobić?” pyta Wilkanowicz. A gdyby powiedzieć Niemcom: w tej komorze gazowej zaduszono milion żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy wcale nie chcieli umierać, więc może to ich raczej proście o przebaczenie... Niemcy pomagają byłym polskim więźniom. Niemcy dali pięć milionów marek na szpital dziecięcy w Warszawie w imię dwóch milionów „polskich” dzieci, które zginęły... Żydzi byli, zginęli, a Polacy nie zginęli i są – to stawia Żydów i Polaków po przeciwnych stronach. Na tym polega różnica między Oświęcimiem polskim a żydowskim. Nigdy też nie słyszałem, żeby ktoś „oddychał z ulgą” z powodu śmierci Polaków w Oświęcimiu, a w tym samym oświęcimskim artykule po przyzwoleniu „można... oddychać z ulgą” Wilkanowicz jeszcze raz nadmienia – już całkiem otwarcie – o takich, „którzy zagładę Żydów przyjęli z ulgą”. Jest to jeszcze jedna różnica. Istnieje ona od „czasów pogardy”, które zaczęły się na długo przed Hitlerem. Całe wieki przed nim, całe millennia. Niemcy chętnie traktują Oświęcim jako „pomnik męczeństwa Narodu Polskiego” i jako „problem polsko-niemiecki”, bo Oświęcim jako „pomnik męczeństwa Narodu Żydowskiego” i „problem niemiecko-żydowski”, stawiałby ich w trudniejszej sytuacji. Proszą, żeby Polacy wybaczyli im zbrodnię przeciwko Żydom, a Polacy im wybaczą.

Jesienią 1989 przybyła stu pięćdziesiąt-ciosobowa grupa Internationale Pax Christi, w której też najwięcej było Niemców (z RFN i NRD). „Tygodnik Powszechny” podał, że „program rozpoczął się pobylem w Oświęcimiu, gdzie poza zwiedzaniem obozu oraz (przejsiem – przyp. HG) Droga Krzyżową na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Brzezince odbyły się seminaria w czterech grupach językowych...” Chrześcijanie mają więc Drogę Krzyżową i w Jerozolimie, i w Brzezince, w obu najbardziej pamiętnych dla Żydów miejscowościach, lecz „seminaria i dyskusje dotyczyły problemów Kościoła w Polsce”. Żydowskiego męczeństwa znów jakby nie było. Jest Edyta Stein, Żydówka-Niemka, oświęcimianka-chrześcijanka. To niemiecka konferencja biskupów zwróciła się (jednomyślnie) do Stolicy Apostolskiej z prośbą, żeby ją beatyfikować. Bardzo się przydała.

Patnicy Pax Christi Internationale uczestniczyli też we Mszy Świętej, odprawionej w Brzezince, w kościele NMP Królowej Polski, mieszczącym się w budynku byłej komendantury obozu. Kościół erygowano w 1983 roku. Mało kto zauważył, bo Brzezinka, największe miejsce zagłady Żydów w dziejach, znajduje się z dala od „Pomnika Męczeństwa Narodów” i turystycznej bramy „Arbeit Macht Frei”, dokąd prowadzi się wycieczki. Klasztor Karmelitanek zauważyli

belgijscy Żydzi, gdy ktoś zaczął w Belgii zbierać pieniądze dla sióstr, aby modliły się w Oświęcimiu o nawracanie Żydów.

Demokracja nie polega na rządach większości, lecz na ochronie mniejszości i nie na wolności religii, lecz na wolności od religii. Te filary demokracji postawił prawodawca-architekt Tomasz Jefferson, jakby przewidując oświęcimskie kościoły i klasztory. Jacek Woźniakowski pisze, że „polski katolik nie może pojąć, dlaczego zakonnikom nie ma być wolno na polskiej ziemi modlić się pod ścianą zbrodni za zmarłych wszystkich narodów i wszystkich wiar, zamęczonych w Ausch-

datku ludzi, którzy – po tym, co tam się zdarzyło – mają prawo do rozstroju nerwowego. Rękoczynu dopuścili się jednak nie sprowokowani zagraniczni Żydzi, lecz miejscowi robotnicy. Ręce są ich najsilniejszym argumentem, a w obcym języku żadnego innego nie mają, ale uczynili to za intelektualnym przyzwoleniem. „Przyznam szczerze”, pisze Jacek Woźniakowski, „ryzykując oskarżenie o barbarzyństwo, że gdybym był robotnikiem reperującym coś w tym klasztorze, i gdyby nie skutkowało łagodna perswazja, przyłożyłbym chyba rękę do wyrzucenia intruzów... A że przy tego rodzaju zaj-

niepoprawny i bezpodstawny paternalizm. Zwłaszcza że w naszej wspólnej judeo-chrześcijańskiej kulturze żywi są tylko pozornie silniejsi od zmarłych.

„Za klasztor!” wołają antysemita, którym znów krzywdę wyrządzili Żydzi. Jeszcze jedna do tak wielu krzywd. Polacy może nie wiedzą, że i Ukraińcy czują się pokrzywdzeni przez Żydów. I Rosjanie. I Niemcy, nie mówiąc o Austriakach. Tyle krzywd zadali Żydzi tak wielkim i dzielnym narodom. Dlatego wybija się szyby w domach modlitwy, profanuje pomniki i cmentarze, woła się „Jude do gazu!” Bogdan Wojdowski twierdzi, że z braku Żydów w Polsce antysemita zbroją się (duchowo) przeciwko Żydom na Zachodzie. Na to wskazywałby komunikat wojenny: „Oddział siedmiu Żydów z Nowego Jorku dokonał napaści na klasztor w Oświęcimiu. Wprawdzie nie doszło do zabójstwa sióstr lub zniszczenia klasztoru, bo zostali powstrzymani...” Takie słowa groźniejsze są od oddziałów. Po takich słowach wszystkiego się można spodziewać.

Straty były wyłącznie po stronie Żydów, których pobito, zelżono, obłano uryną. Kiedy ostatnio bito Żydów w Oświęcimiu? Kto ich bił? Jednego Żyda zabito. Nazywał się Józef Wybran, był ordynatorem w brukselskim szpitalu i prezesem komitetu koordynacyjnego organizacji żydowskich w Belgii. Jedyna kontrowersja w jaką był zamieszany dotyczyła oświęcimskiego klasztoru. Pod koniec września 1989 roku był w Polsce, gdzie rozmawiał na ten temat z przedstawicielami Kościoła i rządu. Zastrzelono go 3 października w Brukseli, na parkingu jego szpitala. Prasa pisała, że był to odwet za uprowadzenie przez Izraelczyków szejka Obeida i że Wybraną zabił specjalista Abu Nidala za pieniądze z Teheranu. W jaki sposób celem tego odwetu stał się polski Żyd, nie znany Arabom? Jak zwrócili na niego uwagę? I co za Judasz go wskazał? Wiadomo tylko, że Abu Nidal miał przez kilka lat „biuro” i prywatne mieszkanie w Warszawie i musiał tam mieć znajomych... Ciężka to insynuacja, lecz bardziej uzasadniona niż „oddział Żydów” i „napaść na klasztor”.

W kilka dni po przemówieniu Prymasa znalazłem się – tu, w Ameryce – na weselu wśród nowo przybyłych Polaków. Gospodarz i Gospodyni, Pan Młody i Panna Młoda, Czepiec o długich włosach jak Chochoł i ja – niewidzialny Żyd. „Nie kochają nas”, poskarżyła się jedna z pań. „Rabin nie chciał się modlić z Prymasem”. „I co on takiego powiedział?” „Wszyscy przyszli, tylko nie on”. „Dobry Żyd, to martwy Żyd – skomentował Czepiec. – Hitler spartaczył robotę...” Gdy Żydzi przytaczali mi takie wypowiedzi, nie bardzo wierzyłem. Ktoś kiedyś usłyszał, a inni powtarzają, myślałem – literatura. Teraz wiem, że to nie literatura. I że kto nie słyszał, jeszcze usłyszy. Czepiec nie miał więcej niż trzydzieści lat.

W czterdziestą rocznicę powstania w warszawskim getcie Jan Józef Lipski postulował „zbliżenie narodu zamordowanego i narodu wciąż jeszcze żywego”. Usłuchał go Rymkiewicz, który w *Umschlagplatz* – jako pierwszy z polskich pisarzy nieżydowskiego pochodzenia – uotożsamiał się z zamordowanymi i przeszedł na ich stronę. Usłuchała też Hanna Krall, „sublokatorka”, która przeżyła rozdwojenie i przeszła na stronę żywych. *Umschlagplatz* i *Sublokatorka* należą do największych osiągnięć literatury „dialogowej”. O zbliżeniu żywych ze zmarłymi świadczą też liczne inne publikacje z lat osiemdziesiątych, które przywracają zmarłym obecność i godność. Niestety, w przypadku Żydów jest to wyłącznie miejsce wśród zmarłych. Nie myślimy o Chicago, Buffalo, Brooklynie i Brukseli, gdzie są jeszcze żywi Żydzi. I jeszcze liczni. Dla przybyszów

dokończenie na s. 6



TADEUSZ BRZOZOWSKI

witz-Birkenau?” Może dlatego, że polski katolik jest niekoniecznie demokratą. Co przewidywał z kolei Juliusz Mieroszewski, pytając, czy możliwa jest demokracja bez demokratów. Pytanie było, oczywiście, retoryczne.

Żydzi mają prawo demonstrować w Oświęcimiu. Bardziej niż gdziekolwiek. I to w taki sposób, jaki dyktuje im rozpacz. A Polacy nie powinni się kierować ambicją, lecz wyrozumieniem. Zwłaszcza jeśli są chrześcijanami. Chrześcijanie mają swoje ważne miejsca na ziemi żydowskiej, gdzie ukrzyżowano ich Zbawiciela. Żydzi mają takie miejsca na ziemi polskiej, gdzie ukrzyżowano ich Naród (wszyscy piszą z dużej litery, więc i ja). Nie obstawia się synagogami Golgoty ani Betlejem, więc nie trzeba obstawiać Oświęcimia-Brzezinki kościołami i klasztorami.

Kościół uzgodnił z Żydami, że klasztor zostanie przeniesiony. Termin minął, a klasztoru nie zaczęto przenosić, przeciwnie – zaczęto go ostantacyjnie remontować. Czy to nie prowokacja? I czy godzi się w takim miejscu prowokować? W do-

ściach nie wszyscy zachowują się akşamitnie...” Ryzyko barbarzyństwa jest niewątpliwe. Pytanie tylko – kto był intruzem? Moja strona twierdzi, że klasztor. Woźniakowski wysmiewa propozycję rabina Weissa, żeby były obóz oświęcimski oddać w zarząd Izraelowi – „i prasa światowa przytacza to bez zmruczenia oka”. Watykan, który zarządza pewnymi miejscami w Jerozolimie, chciałby oddać ją pod zarząd międzynarodowy, a prasa światowa i to przytacza bez zmruczenia oka.

Jacek Woźniakowski nie jest oczywiście barbarzyńcą i w tym samym „Sporze o klasztor” wyciąga rękę do zgody. Rękę tę należy przyjąć – choć z pewnym zastrzeżeniem. Woźniakowski ustępuje dlatego, że naród żydowski „wycierpiał więcej i trzeba uświadomić sobie jego szczególną wrażliwość... Po wtóre dlatego, że na tym obszarze ja jestem silniejszy. A ten kto silniejszy powinien ustąpić pierwszy...” Wystarczyłby pierwszy argument. Drugi byłby bliższy zasadzie Jeffersona, gdyby Woźniakowski ustąpił przez wzgląd na prawa mniejszości, a nie przez

Odwrotna strona dialogu

okończenie ze s. 5

z Polski to szok kulturowy. Nawet najbardziej wyleczeni okazują się mało przygotowani, gdy Żydzi, którzy mieli być dobrzy (martwy Żyd to dobry Żyd), okazują się tacy i owacy. A zły Żyd jest nie do wybaczenia, jest karygodny i – według Czepca – zasługuje na to, co Hitler spartaczył. Niechęć do Żydów amerykańskich bierze się w dużej mierze z tej właśnie niekompetencji psychicznej: z martwymi Żydami już się nauczyli żyć, ale wciąż nie potrafią z żywymi.

Bogdan Wojdowski pyta, dlaczego w kraju, gdzie trwała wojna partyzancka i niemal codziennie wysadzano tory, nie zatrzymano ani jednego transportu Żydów do obozów zagłady? Odpowiedź jest u Jana Błońskiego: zaniechanie. Zaniechanie ludzkiej powinności wobec Żydów przychodziło z łatwością, gdyż Żydów nie traktowano jak ludzi. Pewnego razu w Chełmie nad Nerem wyróciła się na zakręcie ciężarówka, w której duszono Żydów spalinami i wysypali się z niej umierający. W filmie dokumentalnym *Shoah* wspomina to jeden z rozmówców przytaczając słowa gajowego, który mu powiedział „szkoda, że cię tu nie było pół godziny wcześniej, zobaczyłbyś jak to wszystko na czworakach lazło”. Zambarasowana polska tłumaczka nie przetłumaczyła tych ostatnich słów na francuski i zabrakło ich również w angielskich napisach na ekranie. Analogiczny przykład podaje Hanna Krall: „Najpierw leżeli w ubraniach, a kiedy Niemcy odjechali, przyszli ludzie i zdjęli z nich ubrania i buty i Żydzi leżeli nadzy. A kiedy odeszli ludzie z butami i ubraniami, przyszli okoliczni chłopcy i zaczęli te ciała ustawiać. Po dwa, po trzy w różnych pozach one były, jak kto padł, więc jedne opierały się o drugie jak snopy. Dwadzieścia cztery trupy, więc stało tych snopów z siedem, z osiem, na całym polu. Jak posągi stały, nagie i sztywne, białe posągi na białym polu...” A nie byli to chłopcy z Hitler-Jugend, lecz z katolickich rodzin, które chodziły do kościoła. Hanna Krall twierdzi, że w tym reportażu z Kocka jest pewna kwintesencja i trudno się nie zgodzić. Dalszy ciąg nastąpi w Oświęcimiu: „Co ty tam, synku, śpiewasz? Spalony Żydek, zielony Żydek, raz, dwa, trzy. Zmyślny mały, taką piosenkę ułożył. Daj buzi dziadkowi”. Zanotował to Tomasz Jerz w upalną niedzielę 1989 roku. „Jest oko, które widzi, jest ucho, które słyszy i księga, w której wszystko jest zapisane”, ale Wszechwiedzący i Wszechsłyszący nie czeka już do Sądu Ostatecznego. Co zobaczy i co usłyszy rozpowszechnia przez swych reporterów, żeby wszyscy wiedzieli. Żeby nie mogli powiedzieć, że nie wiedzieli. I żeby reagowali w porę.

Różnie tłumacze, gdy mnie pytają, dlaczego nie odwiedzam rodzinnego kraju, lecz naprawdę jest tylko jedna przyczyna: nie mogę oddzielić tych, których chciałbym odwiedzić, od tych, których nie chcę więcej widzieć. Jestem martwym Żydem, ale niedobrym, bo widzę, słyszę i reaguję. Od wymarłych, polskich Żydów różnię się także tym, że biorę żywy udział w dialogu. Robię to mimo woli, często wbrew woli. Los mi ten dialog od początku życia narzucił. Ciężko mi on, przyniata mnie, jest ponad moje siły, ale nie mam wyboru. Przeważnie jest to dialog wewnętrzny, prowadzę go sam ze sobą. Nie przepisy żydowskie są ponad siły człowieka, lecz zniewagi rzucane przez tych, co „oddychają z ulgą” po zglądzonych lub mają za złe żywym, że nie zostali zglądzeni.

Zamieszczona w „Ładzie” homilia częstochowska ma kilka rozdziałów. Jeden nosi tytuł „Dialog z Niemcami”, a drugi – zaraz po nim – „Dialog z Żydami”.

Także gdzie indziej, postulując przyjaźń między wyznaniaми i narodami, Prymas Polski powiedział: „Cóż może być dla nas cenniejszego niż umacnianie takiej przyjaźni i z Niemcami i z Rosjanami, i Żydami”. Znow to samo sugestywne zestawienie. Nie teoria dwóch wrogów, lecz trzech. Teraz, po holocaustie.

W Oświęcimiu, który Wilkanowicz przedstawia jako „problem polsko-niemiecki”, polska strona występuje jako pokrzywdzona i problem ten rozwiązuje się bez udziału Żydów. Natomiast w stosunkach polsko-żydowskich – które Polacy nazywają „trudnymi” – nie określa się strony pokrzywdzonej, lecz wylicza się wzajemne krzywdy, co stawia Żydów gdzieś pośrodku, między winowajcami a skrzywdzonymi.

Stosunki polsko-żydowskie są „trudne” przez fałszowanie, które spotyka się na każdym kroku. Przewodnik oświęcimski, który sam był więźniem obozu koncentracyjnego, opowiedział dziennikowi „USA Today”, że w Oświęcimiu zglądzone milion dwieście tysięcy Żydów i milion czterysta tysięcy „innych Polaków”, dodając, że „hitlerowcy gnali ludzi do obozów zagłady pod byle pozorem – wystarczyło być Polakiem”. Tamże podano, że „w drugiej wojnie światowej zginęło 6 348 000 Polaków – 22 procent ludności” i że były to „proporcjonalnie największe straty z wszystkich narodów”. Nie powiedziano jednak amerykańskiemu dziennikowi, że z polową swych ciężkich strat Polacy prowadzą „dialog” i że chcieliby się z nimi pojednać jak z Niemcami i Rosjanami.

Nie pamiętam ani jednej wojny polsko-żydowskiej (już prędzej polsko-polską) ani jednej inwazji, ani okupacji. Ani Polacy Żydom, ani Żydzi Polakom nie urządzili Oświęcimia ani Katynia. Kto kogo napadł? Kto komu co zburzył? Co spalił? Kto żąda reparacji? Co za pojednanie? Andrzej Szczypiorski pamięta, że „w 1948 roku Żyd z Urzędu Bezpieczeństwa »łał po mordzie« oficera AK „i krzychał: ty faszystowski agencie!” Również Polak z Urzędu Bezpieczeństwa „łał po mordzie” oficera AK, ale pamięta się Żyda. Te pierwsze dziesięć lat władzy komunistycznej, to był jedyny okres w historii Polski, gdy Żydzi byli całkowicie równouprawnieni z Polakami i tego właśnie im Polacy nie mogą zapomnieć. Ja zaś pamiętam, że AKowcy mieli na sumieniu trochę Żydów (głównie cywilnych), więc może chodzi o pojednanie aryjskich AKowców z żydowskimi ubekami? Zwłaszcza że z aryjskimi ubekami pojednał AKowców w latach sześćdziesiątych generał Moczar. Pojednanie chwalebna rzecz, „ale po co łamać krzesła?” – powiedziałyby Gogol.

Toczą się „trudne” rokowania. Nie z Niemcami, nie z Rosjanami, nawet nie z Ukraińcami. Z Żydami. Dochodzi do ostrej wymiany zdań, do demonstracji, a nawet do rękoczynów. Z polskiej strony w rokowaniach brali często udział wyspecjalizowani funkcjonariusze, którzy – jak twierdzi Ruth Wisse – wykonywali zlecenia różnych instancji. W zamian za dokumenty, wizy i zaproszenia negocjowali oni nie tylko o koncesje w historii holocaustu,

lecz i o uznanie, że są partnerami w dyskusji, w której reprezentują tylko odmienny punkt widzenia. Profesorowie i publicyści z Ameryki i Izraela, którzy zapragnęli reprezentować opinię żydowską, stanowczo nie byli równorzędnymi partnerami dla Kazimierza Kąkole, który w latach 1968–70 wyrzucał z Polski Żydów, a zatrzymywał dokumenty i zabytki żydowskie, by później dawkować je Żydom za ustępstwa. Zrezygnował on przezornie z bezwstydnego zaproszenia na jerozolimską konferencję poświęconą zglądzonej kulturze polskich Żydów (1988), ale nie



krępował się przybyć do Bostonu (w marcu 1989) na konferencję pod tytułem *Holocaust a prawa człowieka*.

Holocaust stał się tarczą, za którą Żydzi nie są łatwym celem. Może i dlatego stosunki z Żydami są „trudne”. Przed wojną tak ich nie nazywano, w czasie wojny też nie. Dużym ułatwieniem jest z pewnością „syjonizm” – synonim żywych Żydów. Nawet wódz czarnosecińskiej „Pamięci” podkreśla, że jest tylko antysyjonistą. I endecja, wciąż żywa i zdrowa (zwłaszcza w Ameryce) korzysta z tego kamuflażu. W Buffalo, w biuletynie wydawanym przez *Solidarity and Human Rights Association*, polski badacz obwinia ruch syjonistyczny o zmianę „tradycyjnie przyjaznego nastawienia Polaków do Żydów” i twierdzi, że syjonści organizowali w swoim czasie tajne grupy do walki z Narodowymi Demokratami. Inny badacz (w krakowskim „Znaku”) pisze, że „problem żydowski podjęty został przez młodzież endecką w sposób bardzo zdecydowany około połowy lat trzydziestych do czego zresztą przyczyniła się postawa młodzieży żydowskiej, opanowanej przez organizacje syjonistyczne”. W tymże numerze znajduje się artykuł, gdzie żydowski pionierzy w Palestynie – najczystszy ruch socjalistyczny – określani zostali jako „obcy, energiczni i agresywni przybysze, dysponujący nierzadko sporym kapitałem i pomocą zagraniczną”. Píše się tam, że

„z 22 kolonii żydowskich, jakie założono na początku dwudziestego wieku za pieniądze Edmunda de Rothschild (pieniądze tego wielkiego filantropa uważa się tu z jakiegoś powodu za nieczyste – przyp. HG), ilość osad w roku 1918 podskoczyła do 47”. Sama „podskoczyła” – bez udziału pionierów i bez pieniędzy Rothschilda. Żydzi, którzy w 1948 roku bili się o skrawek ziemi na własność to „agresywni intruzi”, którzy „mają więcej pieniędzy, lepszą broń i korzystniejsze koneksje polityczne”. Ani słowa o kibucach i socjalistach, którzy gołymi rękami budowali żydowski kraj. Atrybutami Żydów są pieniądze, kapitał, koneksje, obcość, agresja, a nie bezinteresowność, poświęcenie i idealizm. Z tego samego powodu dzieci w polskich szkołach długo się nie domyślały, że szlachetny doktor, pisarz i polski oficer, który w mundurze poszedł z żydowskimi dziećmi na śmierć, był Żydem, a nauczyciele nie wyjaśniali, bo dla postępowych nauczycieli nie ma różnicy pomiędzy Żydem a Polakiem, kiedy Żyd jest szlachetny. Gdyby okazał się zdrajcą, złodziejem, szarlatanem i tchórzem, nauczyciele-patrioci nie omieszkali by nadmienić, że Janusz Korczak to Żyd, który nazywał się Goldszmit. Jako dobroczyńca, męczennik, bohater – po prostu zaprzeczal definicji.

Zdehumanizowany i demonizowany Żyd jak diabeł czyhał na chrześcijańskie dusze i wiarę. Odpychając Żyda, odpychało się diabła, oszukując Żyda, oszukiwało się diabła, wydając Żyda, wydawało się diabła, zabijając Żyda, zabijało się diabła – w imię Boga ukrzyżowanego przez Żydów, w imię prawdziwej wiary, w imię antyżydowskiego Kościoła. Skomplikowało się to po holocaustie, który dowiódł, że to diabeł jest antysemitą, nie Bóg. Po Drugim Soborze i Kościół zdał sobie z tego sprawę, ale drogi Kościoła są niezbadane. Świadczy o tym wyniesienie na oświęcimskie ołtarze duchowne-

go, który może być symbolem starego w chrześcijaństwie rozdwojenia między świętością a antysemityzmem, i kobiety, która porzuciła żydowską wiarę. Wrażliwy Kościół poholocaustowy nie zajmowałby miejsca największego żydowskiego męczeństwa, a w wypadku popełnienia takiego błędu, usunąłby się bez targów i zwlekań. Stefan Wilkanowicz ma rację, że istnieje „podejrzenie strasznej chrześcijańskiej machinacji” oraz „ożywienie starych podejrzeń i oskarżeń”, bo Żydzi widzą, co się zataja, zamazuje, manipuluje, a z długiej historii pamiętają do czego takie manipulacje prowadzą.

Sprawiedliwi chrześcijanie patrzą na getto i przypominają, że nie zrobiono wszystkiego co można, że zaniechano powinności, w której zawiera się definicja człowieczeństwa. Kto szuka wyjaśnienia, tam znajdzie. Zaniechanie takie prowadzi do akceptacji morderstwa – ciężkiego grzechu, za który jest ciężka kara. Bo dom, w którym zaakceptowano morderstwo, przestaje być domem, nie ma w nim więcej radości.

Pamięć tego, co się stało, jest jedyną tarczą dla ludzi, którym przypadło być Żydami w epoce, gdy technologia umożliwia wszelkiego rodzaju „ostateczne rozwiązania”. Jeśli holocaust miał jakiś sens, to było nim stworzenie tej tarczy. I granicy dla nienawiści. Obrona tej ostatecznej granicy jest powinnością, której nigdy więcej nie wolno zaniechać.

Henryk Grynberg

Lata Abramowe

Piotr Matywiecki

„Gdy rozpoczął dziewięćdziesiąty dziewiąty rok życia, ukazał mu się Pan i rzekł:
Jam Bóg wszechmogący: chodź przede mną i bądź doskonały.”

Wiersze znalezione

1
Kamyki obracane w strumieniach, w palcach, w pamięci.

2
Rzeko, źródło płynie środkiem twojego nurtu!

3
Koło: kwadrat magiczny.

4
Kamień filozoficzny: kulisty sześcian punktu.

5
Kiedy święty łaknie i zaspokaja pragnienie, znikają ściany pustelni

6
Pielgrzym odpoczywa pod drzewem. Cisza i korzeń
drażą tę samą skalę.

Wiersze zamknięte

7
Niebo: okiennica, którą zatrzasnął za sobą mieszkaniec
nocy wczorajszej.

8
Prorok dusi się od nadmiaru przyszłości.

9
Przygody umierające z zimnymi głowami w pachwinach
jaszczurek.

10
Nasze biografie są sznurami, którymi skrępowano
Nieznane.

11
Serce jak glob objający się o ściany wszechświata.

12
A jednak milczenie: wykluty krzyk wstydu się swoich
narodzin.

13
Po mieście chodzą plutony adresów i rozstrzelują
przechodniów.

14
Gwiazda: hotel dla światłości, trzeciej kategorii.

15
Więziennymi celami apokalipsy zabudowano puste
placę genezis.

16
Twarz metalu z uśmiechem rdzy.

Wiersze otwarte

17
Chłód wozów nagi pobiegł na równinę.

18
Dostrzegłem anioła drzewa na bezdrzewnej równinie:
nadleciało usłyszane powietrze, pełne szumiącego wzroku.

19
Aptekarko! Całując twoje usta dwuskrzydłe
na latającym lekarstwie umieram ze strachu!

20
Szczyt masztu jest oceanem.

21

Mgła: woda źródłana pali się bez popiołu. Bóg przyjął
ofiary!

Wiersze zdziwione

22
Co jest słońce w kryształach soli?

23
„Samotny tłum” – zdziwienie socjologa, zwyczaj anioła.

24
Wieczór: drzewa z ludźmi zamieniają się cieniami.

25
Projekt maszyny kultowej: ziemię nawozi niebem.

Wiersze poetyckie

26
Chciałem pozabawić się wiedzy o jutrze, ponieważ za-
chwyciła mnie doskonałość poranka.

27
Licz godziny na palcach minut!

28
Jaskółki obłąkane lotem nad prostymi szosami.

29
Mam imię skryte jak jedna ze starych, symbolicznych
liczb. Dla utajenia dodano mnie do świata.

30
Na jakiej wadze porównać kolory światła i cienia?
– Na wadze dźwięku!

31
Encyklopedia rybiomrówca: domniemania rudy żelaz-
nej o życiu spisane na bibułkach sadzy.



JERZY TCHÓRZEWSKI

32

Kryształ maligny.

33

Motyle na ostrych drutach rodzą łąki z bólu.

34

Ukrzyżowanie Homera: wewnętrzny wzrok wywrócony
na zewnętrzną stronę i przybity do światła.

35

Latawiec tego manuskryptu
szybowanie wieczne zawdzięcza gwiazdom,
które zabawiają się liczbą jego znaków.

Wiersze nie skończone albo nieskończone

36

Świat chce być niestworzony. Sam w sobie – przeciw
Bogu. Heroicznie i daremnie: bo jest.

37

Noc. Czy brak oczu, czy brak gwiazdy?

38

Przez zamknięte okno firanka odsuwa się od nawałnicy.
Lęk przestrzeni.

39

Wystarczyło, że Bóg nie przypomniał tej c h w i l i...
Orfeusz połączył umarłych z żywymi. – Nie zawsze!

40

Las chodzi między drzewami.

41

Otchłań w uprząży ramy okiennej
galopuje czterema prostymi kątami
przez listowie, przez niebo, przez ranek i błękit.

42

Niepokój. Dzień rozrzucony byle jak na wzgórzach.
Ziola na łące zmieniają kolor pogody. Pewien mrok chce
iść prosto do nieba. Róża jak guzik alarmowy czeka na
moją rękę.

43

Miałem różne godziny, a teraz czasu już nie ma. Tęcza
jak pasek od zegarka zaciśnięta na moim nadgarstku.
Tętno wybije datę na tarczy nieba – niezmiennie błękitną.

Wiersze od rzeczy

44

Wróbel szaro przefruwa
od miejsca pobytu do fikcji skrzydlatej,
od bytu i kurzu do marzeń bywania.

45

Bóg pilnuje dorastania rośliny do zwierzęcia, poeta widzi
jak liście parują myślami.

46

Lot strzały: zanim materia, z której ją zrobiono,
utwierdzi jej istnienie, przestrzeń zaprzeczy jej obecności.

Wiersz cyniczny

47

Wojenna eucharystia: krew zarabia na chleb.

Wiersze diabelskie

48

Głos zewsząd śpiewający wniwecz.

49

Usta, które śmiech zakneblował.

50

Góry wzniosły się szybciej niż opustoszało niebo.

51

Piórem gołębicy pomieszaj lawę w kraterze!

52

Ktoś milczy: „To jest miejsce mojego stracenia”.

53

Przed czym Ręka Boska bronila? – Nie wiadomo, bo już dobrze.

54

Piekło: plac pokryty cieniami, których nikt nie rzuca. I nie ma słońca. Czysta, pusta nienawiść.

55

Labirynt prostej drogi omotanej podróżą do nikąd.

56

Pustynie spacerują, patrzą sobie w oczy. Między nimi miasto stwarza się i rozpada.

57

Krew szkodzi sercu, serce szkodzi krwi.

58

Dziecku mówi się „za dużo myślisz”, starcowi „nie bądź dzieckiem”

59

Nicość nad światem. Pieczęć unicestwienia dokument.

60

Szczur w masce przeciwczołwieczej.

Wiersze zrównoważone

61

Co jutro takie jak dziś – to wczorajsze.

62

Jutrzejszy dzień to tylko pamięć świata o moim wczorajszym wzroku.

63

Kładka nadmiaru nad ubytkiem.

64

Summa: czyta się z lewa na prawo, a kartki przekłada z prawa na lewo.

65

Kat myśli: „Trzeba długo szlifować obie strony ostrza. Nie wiem, czy dla skazańca będę katem, czy wybawcą.”
Nóż myśli: „Krew czy rdza?” Skazaniec od dawna nie żyje. I czeka.



JERZY TCHORZEWSKI

66

„Jestem śmiertelny” – fałsz tego zdania jest identyczny z jego prawdą.

67

Słońce: między obłokiem a błękitem strzała przez chłód nieba.
Rana i wyleczenie.

Wiersze rzeczywiste

68

Ślepe przejście rzeczy przed oczami: widzę.

69

Portret. Naga twarz, po chwili jakby była podskórna twarzą.
Trochę głębiej niż oczy i trochę płycej niż maska.

70

Sny opowiedziane: jak mienie skazańca w rękach denuncjatora.

71

Muzeum codzienne: na rzeczach, jak za szkłem, lekki pot trwałości.

72

Sygnal czasu. Wysoki dźwięk przenika fundament. Domy burzą się nieruchomo.

Wiersze doświadczone

73

Przedmieścia: miasto jest chore na gruźlicę kości, wyszło na zbyt daleki spacer i nie ma siły powrócić.

74

Odporny na ból jak popiół na płomienie.

75

Usta losu – kiedy jeden koniec zaczyna się uśmiechać, na drugim drży jeszcze grymas rozpacz.

76

Ludzie na pomostach patrzący z wyższością na morze ale czekający na okręt.

77

Urząd palenia papierów wymaga nadziei.

Wiersze sumienne

78

Ręka pisze litery: przezroczysty alfabet dnia na dniu
Ręka wykuwa litery: po dniu słyszę upadek nocy w noc.

79

Sekundy coraz jaśniej świecą w przeszłości.

80

Wystaw mnie na niebezpieczeństwo, ale uratuj w porę –
żądanie złej wiary.
Dodaj mi odwagi, ale nie odejmuj lęku – modlitwa dobrej wiary.

81

Znał tylko tak-nie. Wychodząc ze świata trzasnął
drzwiami – były czarne od wewnątrz, białe od zewnątrz.
(Już przy pierwszym ukradkowym odemknięciu zjawyły
mu się kolory.)

Wiersze samotne

82

Drzewo szumiącej topoli, poświęć mi na rozstajach!

83

Cień wymierza na ziemi grób światła.

84

W jaskiniach stoły obrad powietrza i ciemności.

85

Zwierzęta w skórkach pustkowie i węchu.

86

Samotny jak dwoje ludzi we wzajemnym zapomnieniu.

87

Rosną tu zioła cenne, każdy listek oprawiony w nic,
każdy korzeń oprawiony w kamień, na którym nie
wyróżnie.

88

Dzień otwarty jak dziura wypalona w papierze, w miejscu
gdzie miał być projekt warowni.

Wiersze ostatnie

89

Tylko oddycham. Lekceważę wyroby próżniackie wzroku
i słuchu.

90

Pulsowanie regularne, ale serce nie bije. Czy to czas
upływa, czy krew?

91

Czas ucieka: liść biegnie po gałęzi, porzuca zieleni.

92

Stada ptaków przelatują z północy na południe. Z nimi
stada nietoperzy – z nocy płytszej w noc głębszą.

93

Ogień łączy na wieki brawurę z popiołem.

94

Stara szmata podarta na najmniejsze cząstki – na ziarna
Inu!

Wiersze bez istnienia

95

Zima. Śnieg otworzył się. Dni przeszły

96

Chmury tak pięknie prawdziwe, na niebie tak pięknym,
bo pozornym.

97

Trzymam Twoje ręce jak źródła podniesione z ziemi.

98

Jeruzalem. Miasto jak migocący na skale cień listka.

99

Mnie nie ma. Świat czysty



JERZY TCHORZEWSKI

O pactwo cystersów w Citeaux znajduje się 20 kilometrów od ruchliwego Dijon. W XII wieku Bernard z Clairvaux założył tu klasztor, który z krótką przerwą w czasie rewolucji francuskiej funkcjonuje do dziś. Tylko budynki są nowe. Dawne zostały częściowo zniszczone, częściowo zamienione za rewolucji na teatr. Mnichów wówczas rozstrzelano. Obecnie cystersi prowadzą gospodarstwo rolne i hodowlę krów. Produkują doskonałe sery.

Citeaux – Heidelberg

Mnisi oprowadzają nas, studentów letniej szkoły francuskiego w Dijon, po swoim gospodarstwie. Zabrał nas tu nauczyciel grupy „literackiej” Dominique Masson. Po obiedzie zapraszają nas do stołu. Tematem lektury i dyskusji będzie kazanie świętego Bernarda o miłości. Przybysze z Włoch, Polski, Holandii, Szwajcarii, Niemiec i Korei zastanawiają się głośno, z trudem szukając odpowiednich słów, nad różnymi postaciami i stopniami miłości. Pytamy, czy można pogodzić miłość Boga i miłość własną? Czy miłość mężczyzny i kobiety może być „czysta”, w tym sensie, że wyzbyta pierwiastka handlu – coś za coś? Czy może przekroczyć – jak mówi najmłodszy z mnichów Jean-Philippe – koło pożądlivosti (a ma na myśli nie tylko pożądlivość zmysłów)? Ktoś przywołuje koncepcję miłości Gabriela Marcela. Ktoś inny twierdzi, że tylko człowiek niezależny i samowystarczalny może naprawdę kochać. Ta koncepcja samowystarczalności człowieka nie całkiem podoba się gospodarzom. Święty Bernard nawiązywał do platońskiej drabiny miłości – od miłości własnej, poprzez rozmaite stadia miłości do drugiej osoby, aż do niezmiennej, bezinteresownej miłości absolutu...

I tak przechodzimy od problemu miłości do problemu wiary. Wspólnie dochodzimy do wniosku, że wiara jest „presupozycją” każdej ludzkiej relacji. Pytając, spodziewamy się odpowiedzi, prosząc – oczekujemy życzliwego gestu. Notujemy słówka i idiomy, bo te dyskusje są przecież częścią naszych ćwiczeń językowych... Lecz przy okazji bracia wyjaśniają profanom sens życia kontemplacyjnego.

Praca, odpoczynek, modlitwa. Wielu z nich uprawia w klasztorze równocześnie dwa zawody, intelektualny i fizyczny. Na przykład jeden z braci pisze kazania i jest szoferem. Każdy ma tu swoją osobną ścieżkę w ramach benedyktyńskiej wspólnoty. Szwajcarka pyta wprost, jaki jest cel takiego życia?

– Celem życia jest samo życie – odpowiada brat Andre. – Nie ma żadnej różnicy między życiem jako takim a życiem duchowym.

Cystersi mają krótkie nabożeństwa co trzy, cztery godziny. W niedzielę – msza łacińska ze śpiewem gregoriańskim. Codziennie wieczorem po komplecie śpiewają Salve Regina. Tak jest u cystersów na całym świecie, także w Polsce: w Wąchocku, Jędrzejowie, Henrykowie, Oliwie i Szczyrzycu.

Idziemy na mszę. Kościół w Citeaux jest okrągły. W środku wielka pusta przestrzeń. Wierni stoją na obwodzie wielkiego koła. Naprzeciwko nas brodate sylwetki białych mnichów. We Francji rzadko się przykleka. Mnisi skłaniają się głęboko – widzimy wówczas ich siwiejące głowy, łysiny. Kląniemy się Bogu, ale i sobie nawzajem. Kontakt z sąsiadem wiedzie przez środek koła. Jakby przez oś świata. Podczas mszy następują długie momenty ciszy. Wydaje się, że ta cisza domaga się pustej przestrzeni. Cisza nie jest przecież niczym innym niż próżnią w czasie. Pusta przestrzeń w centrum kościoła cysterskiego wciąga, oszalałami. Może przestrzeń ciszy w człowieku musi spotkać się z pustą przestrzenią na zewnątrz? W doświadczeniu mistyków Bóg jest ciszą. Pusta przestrzeń i cisza wewnętrzna są dwoma wymiarami modlitwy: pustka unosi w górę, cisza prowadzi w głąb. I te dwa kierunki – wwyż i w głąb – stają się jednym.

Heidelberg

Inne miejsce, inny czas, ale dalszy ciąg tego samego przeżycia. Różnojęzyczny tłum przypomina tamten z Dijon, ale tym razem obrządek jest inny. To międzynarodowe spotkanie Siddha yogi. Z Indii przyjechała Swami Chidvilasananda, zwana Gurumayi. Zostałam zaproszona na to

spotkanie, i te dwa doświadczenia, z Citeaux i Heidelbergu, wydały mi się różnymi fazami jednej drogi.

Podobna łatwość porozumienia między ludźmi. Dzień zaczyna się medytacją o piątej rano, potem półśpiewy, półrecytacje w sanskrycie. Medytacja, śpiew, praca – trochę jak tam, w klasztorze. Bo i tu każdy ma jakiś obowiązek, w kuchni, w szatni, przy kwiatach. Po południu mieszkańcy Heidelbergu i studenci miejscowego sławnego uniwersytetu tłoczą się na wykład Gurumayi. Tłoczno jest tylko na

początku. Potem robi się luźniej, bo nie ma spodziewanych atrakcji. Mało sekretów technicznych jogi i obietnic uzyskania szczególnych mocy. Za to wiele się mówi o dyscyplinie, ofiarności i milczeniu.

„Dwie są sprawy ostateczne w ludzkim życiu – Bóg i śmierć” – zaczęła swój wykład Gurumayi. Młoda kobieta, w sari koloru ognia. Ładna, dość ostra w ruchach, dowcipna w bezpośrednim kontakcie.

W swoich wykładach sięga równie często do przypowieści indyjskich, jak i do Mistra Eckharta. Chwali klimat duchowy Nadrenii, kolebki wielkich mistyków średniowiecza, jej ideą jest budowanie mostów między jogą a mistyką europejską.

Każdy wykład ma swój motyw przewodni: dyscyplina, miłość, czas i przestrzeń, sutry Patañdzalego, filozofia



JERZY TCHÓRZEWSKI

adwajty. Ten leitmotiv jest jakby nitką, na którą nanizywane są anegdoty, cytaty, przypowieści. Spotkanie w Heidelbergu stało się piękną lekcją pojednania przeciwności: jedności dźwięku i ciszy, ruchu (taniec sakralny) i bezruchu kontemplacji. Dla jogina życie i śmierć („zobczona” codziennie w medytacji) są jednym tekstem. Ta wiedza ma się jednak stać wiedzą radosną, wiodącą do afirmacji życia. Mistyki kontemplacyjnej można więc nauczać także poza życiem klasztornym, i może ona pozostać w doskonałej harmonii z życiem praktycznym. Tego uczy Gurumayi.

Można na to patrzeć z podejrzliwością, w indyjskich guru widzieć łowców dusz i szafarzy podejrzanego szczęścia, płynącego z identyfikacji wiernych z mistrzem. Czasem tak rzeczywiście bywa. Ale guru tacy jak Swami Chidvilasananda, rozdają – czasem za darmo, a czasem za wysoką opłatą – prawdziwy dar medytacji, dar „odosobnienia”.

Abgeschiedenheit – tym terminem Mistrz Eckhart określał istotę życia kontemplacyjnego. Odosobnienie, które nie ogranicza, ale wyzwala, nie izoluje od ludzi, ale do nich zbliża. Prawdziwy guru nie chce werbować wyznawców, on tylko kieruje ich uwagę w głąb nich samych. Nie ma tu „ucieczki od wolności” w objęcia guru. Ucieczka taka byłaby czymś zbędnym. Kontakt z guru jest bowiem sprawą wewnętrzną, przekraczającą ograniczenia czasu i przestrzeni.

Przeżywamy kolejne fazy mody na Wschód. W nawrotach tej mody można dostrzec formę eskapizmu, warto jednak zapytać o sens tej mody, która trwa w Europie od ponad stu lat i każdemu pokoleniu odświeża coś innego. Badanie podobieństw między świadomością mistyczną Wschodu a Zachodu może pomóc w zrozumieniu własnej kultury, jej ukrytych, podziemnych nurtów. Konfrontacja kultur prowadzi zwykle do pytania o własną tożsamość. Oddzielając „człowieka Wschodu” od „człowieka Zachodu”, zapominamy, że istnieje również „człowiek wewnętrzny”, który jest taki sam we wszystkich religiach i kulturach.

Czego zatem człowiek Zachodu szuka na Wschodzie – prawdziwym albo symbolicznym, ograniczonym do lektury książek o jodze, czy spotkań ze sławnymi guru? Mocnych wrażeń, rozluźniania nastroju, komunii grupowej, zwolnienia od odpowiedzialności za własny los? A może – samego siebie? „Podróż na Wschód” jest zawsze próbą samopoznania. Medytacja – czy to na Wschodzie, czy na

Zachodzie – jest przecież zawsze tym samym, grą o własną podmiotowość, o wolność wewnętrzną. Medytacja nigdy nie jest zbiorowa, grupowa, nie jest hinduska, buddyjska ani chrześcijańska, tak jak sen nie jest buddyjski czy mahometański (tak mawiał Swami Muktananda, mistrz Gurumayi). Przekraczając wszelkie wierzenia, dogmaty, symbole religijne, nabieramy świadomości własnego istnienia. Badamy „podszewkę” własnej świadomości, która – jak twierdzi joga – jest niczym innym, jak podszewką bytu. Nasza świadomość ma bowiem dwa końce – jeden jest uchwytny w introspekcji, a drugi ginie gdzieś w otchłan, można jednak iść za nim w głąb, jak po nitce do kłębka. Momentalny wgląd w istnienie może być nie tylko postulatem hermeneutycznym, jak w fenomenologii. Może stać się indywidualnym doświadczeniem każdego człowieka.

Warto zobaczyć w tej modzie na Wschód, zamiast poszukiwania egzotyki, echo tego wezwania, które wypisano nad wejściem do dellickiej świątyni: *gnóthi seauton* – poznaj samego siebie. Tkwí ono u podstaw zarówno indyjskiej, jak i europejskiej kultury. „Szukaj najpierw siebie samego” (św. Augustyn, Kazanie 52) to wezwanie wielu mistyków, filozofów, poetów. Bywa tak, że „podróż na Wschód” zwraca Europejczykom ich własną kulturę, wzbogaconą przez rozmaite techniki introspekcji i skupienie, wykształcone na Wschodzie. W sławnej wedyjskiej formule *Tat twam asi* (ty jesteś Tym) można doszukać się nie tylko koncepcji mistycznego zjednoczenia Atmana z Brahmanem, ale i europejskiej, znanej od czasów romantyzmu idei „czułości wszystkiego”, jak powiedział Miron Białoszewski, czyli poetyckiej wrażliwości obejmującej całość istnienia. Hinduistyczne równanie: „świat = świat, można lepiej zrozumieć nie tylko studiując starożytne pisma Indyjskie, ale śledząc konstrukcję podmiotu wielu utworów poetyckich, w których poeta staje się jakby „podmiotem lirycznym” całego wszechświata. Jego świadomość obejmuje całość istnienia.

Czy nie jest więc tak, że „podróż na Wschód” burząc wszelkie przegrody otwiera przed nami ogród (czy też bibliotekę?) całej kultury. Świat jest całością. To „ogromny gmach bez ścian i bez podłogi”, jak mówi Miłosz w wierszu „Do Józefa Sazdika”. Cały świat domaga się od nas zrozumienia i kontemplacji – ludzie, rzeczy, symbole.

Rajmund Kalicki

tajemnicy, a może niejasna pamięć o odpowiedzi, której ktoś udzielił i która w tej dali rozplynęła się i zagubiła. Pozostaje doznanie banalne: niepewność. A potem znowu, nie wiadomo kiedy, pośród znużenia rodzi się harde przekonanie, że wiele jest jednak w zasięgu ręki, a odległości wyznacza tylko wyobraźnia. A więc jak: wyspy są urojone a dal pozorna?

To nerwica pędzi nas z miejsca w miejsce. Nikt dawniej nie wyruszał z domu, jeśli nie musiał. Tylko sprawy życiowe (gardłowe) mogły oderwać człowieka od okna, przez które popatrywał w dal. Czas był inny: niczego nie zmieniał. Dzień

Siedem rozmów z Jerzym Stajudą

wyrażnie zamykały świat i zmierzch. Jeśli nawet we dnie zdążyło się komuś być w drodze, nocą bezwzględnie chronił się pod dach. Człowiek żył wtedy jakby bardziej w sobie. Był w sobie, nie będąc jednak dla siebie. To z tego odczucia Mistrz Eckhart mógł wyprowadzić myśl, że jesteśmy purum nihil. Podróż burzą to naturalne doznanie. Zwodzą nas mnogością, wielością, ale też w paradoksalny sposób wynoszą: świat zmienia się na naszych oczach, a my pozostajemy sobą. Tego niebezpiecznego wrażenia nie doświadczano przez całe stulecia. Dopiero późne średniowiecze zachłysnęło się nim i odtąd zaczął się czas nowy, czas przemian. Dziś, gdy wszyscy wszędzie jeżdżą, gdy podróżuje cały świat i każdy niesie ze sobą walizkę, coraz trudniej spotkać wędrowca prawdziwego. Nie ma już prawie podróżników, bo nikt nie siedzi w domu. Ten oksymoron określa istotę podróży: jest to właściwie poruszenie wyobraźni, żywszy bieg myśli, szczególnie teleologia pragnień, budująca własne wyspy i własne statki, którymi można do tych wysp dotrzeć. Takie jest prawdziwe wyjście w morze, port, z którego się wypływa, a potem pozostaje już tylko pomruk wiatru, przemijanie czasu i odkrycie w końcu, że hic lapis est circa te...

Rozmowa trzecia: o obrazach

Pisanie o sztuce, mówienie o niej, jest niewdzięczne i cokolwiek pretensjonalne. To morze jest zawsze pełne mgieł. Widzimy świat w trzecim dniu stworzenia: gwiazd jeszcze nie ma (na obrazach Stajudy czekają na nie białe puste miejsca, dusze bez ciała).

Sztuka łączy własną samotność z samotnością każdego z nas. Przeważnie nie rozumiemy tego, co na obrazach, tak jak obrazy nie czują tego, co poza nimi. Ale czasami dokonuje się cud. I wtedy mamy Nowosielskiego (z jego obrazami, które się same modlą) oraz Fijałkowskiego (z obrazami, które same zgłębiają własną samotność).

Na płótnach Stajudy biel to oczekiwanie, to kolor in spe, tak jak ciosa jest zawsze granicą najpełniejszą, bo jest już muzyką sfer. Muzyka jest właściwie jedną z postaci dali. Lekki szmer morza wystarczy, aby nas przenieść na wyspy najodleglejsze. Jęklawa smułka dźwięku dobywająca się z fletu zbliża nas do bogów. Odkrył to pierwszy artysta, Jubal Kainita, kiedy grał na piszczałce.

Poetka Anna Kamińska pisała, że „pokusa zanurzenia się w morzu urzeczywistnia się poprzez muzykę” i wspaniale odpowiedziała: „nie człowiek – morze jest obrazem Boga”.

Muzyczność obrazów Stajudy: cisza bieli. Bieli żagli? A może tych samych białych płócien, które suszyły się w Macondo na podwórzu i wraz z piękną Remedios wleciały do nieba; to dzięki nim zbliżenie do tajemnicy stało się bardziej wiarygodne.

Sztuka tęskni do bezczasu, a to, co w niej najwartościowsze, prawie nigdy nie jest dzianiem się. Owo dziwne „coś” niewiele objawia, raczej przypomina, jest jedną z form pamięci, jakby młodszą siostrą platońskiej anamnezy. W swym zamyśle etycz-

nym budzi w nas poczucie świata, gdzie nie ma już podziałów i sporów, gdzie każde istnienie jest sobą bez reszty. Tak kiedyś było. Wielu twierdzi, że tak też będzie.

Rozmowa czwarta: o kobietach

Materia tych zagadkowych istot jest bardzo intrygująca, choć w swej substancjalności nie zawsze uchwytana; rzecz nie nadaje się tym samym do pełniejszej relacji.

Krótko: myślę, że jako przedmiot w sztuce panie są zawsze namiastką i unikiem, a czapkowanie przed ich nieistotnością jest gestem doraźnym...

Stajuda myśli trochę inaczej: mówi o transcendencji i...

Rozmowa piąta: o tak zwanym dobrym smaku w malarstwie

– To podstawa wszelkiego działania w sztuce – mawiał mistrz Nacht, przyjaciel Stajudy.

– A co wobec tego – pytam – z barokiem? Co ze skrajnościami ekspresjonizmu? Co z wulgarnościami pompejańskich fresków i japońskiego drzeworytu? A może – mówię – nie ma sądu bez przesądu i bon gout jest tylko jeszcze jednym francuskim wymysłem, „francuską ciuciubabką”, jak napisał mi kiedyś Jurek Panek.

Oczywiście, wiemy, że tak nie jest i że jakaś nieuchwytna, aienaruszalna granica dzieli świat na te dwie (lub trzy, jak chcą gnostycy) krainy. Słowa i gesty, spojrzenia i to, na co spoglądamy, wszystko wywodzi się z tych dwu niechętnych sobie światów. Wierzę, że różnice między nimi znikną w krainie trzeciej.

Rozmowa szósta: o czasie

Zdumiewający jest pewien filozoficzny wywód o istocie naszego „ja”, które jest zawsze w przyszłości i dopiero stamtąd zwraca się ku chwili bieżącej, walczy z nią i przeżywa ją zgodnie z własnym wyobrażeniem tego, co się ma dokonać. Przyszłość jest tu bardziej pewna niż teraźniejszość, nie mówiąc już o przeszłości, która zawsze jest najstraszywszą otchłanią. Widzę w tym załazek wielu myśli budujących. Wir czasu to miejsce ocenione, to struga deszczu, którą statek goni na morzu. Nie trzeba się bać. Wszystko, co złe jest już za nami. Wystarczy kilka kroków, aby znaleźć się w tej osobliwej krainie, jakiej starożytni – posłuszni prawu, które przeczuła intuicja Heraklita – szukali na Północy, wśród Hiperborejczyków, gdzie zawsze

Spotkaliśmy się w drodze powrotnej, z dala od lądu stałego, na pełnym morzu. Stajuda wracał z Chin, ja z Argentyny. Sztil sprawił, że nasze statki zbliżyły się i w bezruchu zatrzymały na głębiej: szmer wody, dziwna eurytmia fal, jasna linia na horyzoncie, gubiąca się w pęsimym, metafizycznym punkcie. Wszystko to w ciszy przerywanej szumem wiatru i deszczem. Wszystko poza słowami.

Ten zapis rozmów nie jest pełny: nie wiem, które z tych myśli bliskie są Stajudzie.

Rozmowa pierwsza: o pryncypiach

Przy stole ze stosownymi dodatkami dociekamy sensu różnych rzeczy. Literatura niczego już nie uczy, historia niewiele wyjaśnia, sztuka nic (prawie) nie objawia. Historia jest sumą nieśczęść, sztuka – poświęceń i tryumfów, literatura – rachunkiem sumienia. Być może pyłtła istotne nie są aż tak istotne. Ich natrętność jest chyba tylko nerwicznym odruchem, pogłosem zawiedzionych nadziei. Gdzieś tam wszystko się zamazuje w nieokreśloności, a zniechęcenie dopełnia reszty: śmierć mamy już za sobą.

Tak, wobec świata rzeczy jesteśmy bezradni, uległość przedmiotów to zwodniczy pozor. W tym kręgu pozorów i nadziei skłótwani artyści szukają, dotykają, przyciągają, odpychają, wyrzucają, gubią, nie zauważają, że wszystko to w głuchym poczuciu niepełni. Co robisz z rzeczywistością, z tą odrobiną materii, która staje nam w gardle? Mój barokowy poeta, Lezama Lima, powiedział już przed śmiercią: „Powrót do realizmu bez nowej postawy, wobec rzeczywistości to tylko asydzm wyzuty wizji, to próżny ułomek, ujadający nad swą niepojętą małością”. Tę myśl trzeba by przenicować raz i drugi, a z jej okrucichów złożyć łunę, wyraziście i jasną jak pierwsze przykazanie. Można dlatego filozof Cornelius Castoriadis, szy-



dząc z kultu, jakim darzymy dziś rzeczywistość, pytał urągliwie: „A czymże jest ta rzeczywistość? Wczorajszym programem telewizyjnym”.

W mieszkaniu Jerzego Stajudy, które jest też jego pracownią, nie ma telewizora. Stoją tam dwa stare fortepiany o czystym dźwięku.

Rozmowa druga: o podróżach

Najpierw są dalekie wyspy a potem statki wyruszające za morze. A jeszcze potem zniechęcenie, znużenie i wypami, i dala. Pozostaje po tym wszystkim dziwny osad, echo jakiejś

jest mniej słońca. Tam, na mglistej wyspie noszącej wiele nazw – od Ultima Thule po Ocolorę – w odwiecznej przyszłości, która już na nas czeka łagodnie uśmiechnięta, wszystko się spełnia.

Rozmowa siódma

Nie rozmawiamy. Milczymy, a nasze statki płyną na północ. Rzeczywistość jako przedmiot dryfujący po nieznanym morzu Flotsam.

„Wiatr jeno i dym mamy na własność” mówi Montaigne. I mówi niegłupio.

rysunki Jerzego Stajudy

Okrężną drogą dotarli do mnie pierwsze dwa tomy wydawanego w Tel-Awiiw almanachu Związku Autorów Piszących po Polsku w Izraelu – KONTURY. Przeczytałem od razu, i to od deski do deski. Jak na to, że każdy członek Związku ma prawo umieszczania w KONTURACH swoich prac, poziom literacki całości jest zaskakująco dobry. Na szczególne wyróżnienie zasługuje kilka nazwisk. Przede wszystkim Leo Lipski, mistrz zwięzłości, potrafiący o sprawach drastycznych pisać z olbrzymią powściągliwością. Dwa lata temu lubelski Fundusz Inicjatyw Społecznych wydał tom jego prozy, w przygotowaniu ma – już w pierwszym obiegu – kolejną książkę. Dalej Ida Fink, autorka tłumaczonego na kilka języków i wysoko w świecie cenionego tomu opowiadań *Skrawek czasu* („Aneks” 1987), którą można porównywać do Hanny Krall jeśli chodzi o umiejętność odczytywania czyje-

Mocne kontury

goś losu ze słów, z gestów, ze zdjęć. Następnie Eli Barbur (rocznik 1948), prozaik nowoczesny, dla którego mistrzów szukać należy w literaturze amerykańskiej (Kerouac, Bukowsky). Z kolei w opowiadaniach Renaty Jabłońskiej daje się odczuć wpływ Philipa Rotha: ta nieustanna kontestacja tradycji żydowskiego obyczaju i rytuału, to połączenie miłości z nienawiścią (nie przypadkiem tytuł jednego z opowiadań brzmi „Pierwsza nienawiść”). Albo Eugenia Lewin, przed wojną pod pseudonimem Giza Szen wydała powieść *Życie na nowo*. Przeszła przez getto, potem uciekła, żyła w ukryciu, zginęła w czasie Powstania Warszawskiego. Po wojnie jej siostra w schowku pod podłogą odnalazła rękopis o życiu w getcie – w KONTURACH zamieszczono bardzo subtelnie napisaną „Opowieść szpularki Geni”.

Mniej lub bardziej literacko przetworzone wspomnienia z czasów Zagłady to tylko część tekstów, składających się na KONTURY. Z innych wyróżnia się barwny obraz Izraela. „Jestem cholernie zadowolona, że żyję w tym zwariowanym kraju” – mówi bohaterka opowiadania Jabłońskiej. Czytając te współczesne „kawałki” tak, jakby były napisane przez jednego autora, tworzymy sobie obraz kraju paradoksów religijnych, społecznych i obyczajowych. Widoczne w izraelskich miastach „anteny tarczowe do satelitarnego odbioru TV-Moskwa” przypominają o kłopotach Żydów radzieckich z asymilacją. „Dyplomatyczne mercedesy z chorągiewkami bantustanu Ciskei” uświadamiają nam, że obok RPA tylko bodaj Izrael uznał niezawisłość bantustanów. Z izraelskiej perspektywy Leonard Cohen i leader paryskiego maja '68 Daniel Cohn-Bendit należą do jednej wielkiej rodziny Kohenów (której członkom skądinąd nie wolno się żenić z rozwódkami). Podobnych rodzin jest wiele w tych dwóch tomach, stworzonych przez unikalną społeczność ludzi piszących po polsku w kraju egzotycznym, choć z wielu względów bliskim.

Jan Zieliński

„KONTURY”, t. I 1988, t. II 1989. Adres: Tel-Awiiw POB 14052

przeгляд zagraniczny

LIST Z LUBLANY

W Lublanie ostatnio też nerwowo. Pluton żandarmerii armii jugosłowiańskiej zajął pewnej nocy lokal sztabu obrony terytorialnej Słowenii. Wiedzieć trzeba, że przedtem Słowenia ogłosiła niezależność swej obrony terytorialnej i na miejsce starego generała mianowała szefem sztabu słoweńskiego majora, czego belgradzka centrala i armia jugosłowiańska uznać nie chciały. Pod budynkiem zebrał się rano tłumek wzburzonych Słowenów, posłanka i socjolog Nevenka Hribar, pierwsza dama rządzącej koalicji „Demos” rozdawała demonstrującym goździki. Do budynku przemycił się chyłkiem zdjęty z funkcji szefa generał (piękne zdjęcie w lublańskiej prasie), przybyło jeszcze dwóch generałów i niebawem wszyscy trzej uciekając przed prasą odjechali samochodem – powodując wypadek na najbliższym skrzyżowaniu i umykając z miejsca wypadku. Incydent miał odpowiedni rozgłos, ale Słowenicy – jak na nich przystało – zachowali zimną krew.

Literatura słoweńska w tym wszystkim ma się nieźle. Promocja nowych książek jednego z głównych tutaj wydawnictw Mladinska Založba odbywa się w kawiarience-galerii w zaulku starej Lublany, dwa kroki od wijącej się przez całe miasto rzeki. Wszystkiego raptem sześć stolików: wydawcy, autorzy, krytycy, prasa, telewizja, kibice – tłoczno, ale całkiem przyjemnie. Aperitif, kanapki, szampan. Nowych książek jest sześć, nakłady 500–800 egzemplarzy (eseistyka, poezja) bądź nieustalone z góry (humorystyczna powieść, klasyka). Książki przepiękne: papier, oprawa, sztuka edytorska o jakiej u nas na ogół tylko marzymy. Książki, rzecz jasna, dotowane. Czy tutaj to się też skończy? Owszem, spodziewają się kłopotów, ale tak naprawdę im nie wierzę. Katastrofy książki, w polskim stylu, można się spodziewać w innych miejscach Jugosławii, gospodarni Słowenicy znajdują pieniądze (dotacje?) także na literaturę. Powiedział tu ktoś kiedyś: to nie naród słoweński ma literaturę, to literatura ma naród.

Jaka literatura? Dzisiaj, oczywiście, postmodernistyczna. Lublana (do Triestu godzina szybkiej jazdy samochodem, do Wiednia, no, kilka godzin) trzyma rękę na światowym pulsie. Profesorska pedanteria krytyki podzieliła

dzieje ostatniego czterdziestolecia poezji słoweńskiej na protomodernizm, modernizm właściwy, ultramodernizm i postmodernizm, każdemu przypisując odpowiednie pięcio-, dziesięcio- lub piętnastolecie, indywidualności poetyckie, pokolenia, tomiki. W obecnym postmodernizmie uczestniczą poeci różnych pokoleń, ale najbardziej charakterystyczna jest twórczość młodych. Na promocji Mladinskiej Založby mamy właśnie czwarty już tom poetycki wielkiej wschodzącej gwiazdy tutejszej liryki Aleša Debeljaka (rocznik 1961) i trzeci – Jure Potokara (rocznik 1956). Debeljak, wykładowca socjologii religii uniwersytetu w Syracuse w Stanach przedstawia tom liryki prozą *Minute strahu* (*Minuty strachu*) – zapiski z podróży po Ameryce Północnej. Wysokie notowania ma też eseistyka Debeljaka, zwłaszcza drugi tom jego esejów: *Postmoderna sfinga* (1989, *Postmodernistyczny sfinks*).

Wśród promowanych tomów eseistyki filozoficznym ciężarem i objętością przygniata *Sveta igra sveta* (*Święta gra świata*) Tine Hribara, rzecz o „sztuce w epoce postmoderny”. Hribar to główny tutaj promotor postmodernizmu. Jest profesorem filozofii, redaktorem „Novej reviji” – literacko-filozoficznej wylegarni tutejszej demokracji (zresztą mężem wspomnianej już posłanki, Spomenki Hribar), mówi, że również współtwórca nowej słoweńskiej konstytucji. W swej książce punkt wyjścia znajduje w Heideggerze, Nietzsche i oczywiście w Heideggerze, pisze o Prešernie, Cankarze, Kafce, współczesnej poezji słoweńskiej, o hard-rocku, teatrze i parateatrze, o muzyce słoweńskiej i grafikach Bernika, o postmodernistycznej architekturze... I przede wszystkim o tym, co w tytule: o świętości w świecie bez Boga.

Z tymi medytacjami filozofa łączy się ściśle drugi tom esejów. *Kronika manichejska* (tłumaczyć nie trzeba) Marjana Rožanca. Ta promocja ma szczególną, tragiczną wymowę. Sześćdziesięcioletni prozaik, bardzo ostatnio czynny i produktywny ma – o czym na sali już wszyscy wiedzą – przed sobą ostatnie chwile życia. Gdy tu piszę, Rožanc już nie żyje. *Manichejska kronika* jest historią poszukiwania Boga, wiary, świętości, ale ważną rolę odgrywa w niej diabeł. Od Hribara Rožanc

różni się upartym, gnostycznym „bogoiskatelstwem”. Poszukiwania takie dominują w życiu duchowym Słowenii, bo kilka dni później od krytyka Tarasa Rermaunera, równolatka Rožanca, słyszę, że on w przeciwieństwie do demonizmu Hribara odnajduje się w chrześcijaństwie i w Bogu. Słowem, w Absolutcie, którego jak widać szukał we wszystkich swoich literackich wiarach w trwającej przez lat kilkadziesiąt kuracji z komunistycznej infekcji.

Z promocją poezji i eseistyki kontrastuje wznowienie poczytowanego klasyka, France Bevka i przede wszystkim satyryczna powieść pogodnego humorysty Tone Partljiča *Prelesti, prelesti* (*Rozkosze, rozkosze...*). W literaturze słoweńskiej widzę dwa bieguny: ekskluzywny biegun literatury dla wtajemniczonych (filozofii, eseistyki, poezji) i biegun literatury popularnej, dla ludu i działawy szkolnej i daremnie szukam środka.

Inna promocja, tym razem w jednej z licznych sal konferencyjnych wielkiego centrum kulturalnego im. Cankara to jubileuszowy, setny numer „Novej reviji”. Promują: Niko Grafenauer i Tine Hribar, członkowie redakcji. Ukazująca się od lat ośmiu „Nova revija” odegrała kluczową rolę w tutejszej rewolucji demokratycznej, samo jej ukazanie się było znakiem nowej epoki, z grona redakcji i współpracowników czasopisma wyszli ministrowie, posłowie do parlamentu: m. in. Dimitrij Rupel, Andrej Capuder, France Bučar, Jože Pučnik. Teraz, gdy polityka poszła swoim torem, redaktorzy pisma na jubileusz wydali numer całkowicie poświęcony poezji: kilkunastu poetów wybierało po dziesięć ulubionych wierszy. (Oczywiście autorów słoweńskich). Bardzo to ciekawa antologia: mało w niej wierszy mistrzów o niezachwianym autorytecie narodowych twórców – Prešerna, Župancića, dużo – Murna, Kocbeka, Strišy.

Czy literatura słoweńska ma się dobrze. Chyba tak. Nie ma tu wcale na ulicach straganów z książkami, owszem jest parę z nielicznymi publikacjami o zbrodniach komunistów i miłościach Josipa Broza Tita, porównując z warszawskim jarmarkiem tyle co nic. Trochę słycać o prywatnych wydawnictwach. Ludzie z Mladinskiej Založby twierdzą, że najlepiej sprzedaje się poezja. Oczywiście, Debeljak. Jego *Postmodernistycznego sfinksa* nigdzie nie udaje mi się pożyczycy.

J.P.H.

Wiara i lud

Bardzo to ciekawe założenie, uważa Raphael, jednak z praktycznych względów niemożliwe do zrealizowania. Co chwila bowiem spod podszywki ultra-religijnych definicji wygląda, mimo licznych wysiłków autorów hasel to, co potocznie zwie się „żydowskością” (*yiddishkeit*). Nie tylko z tekstów niesforne wymyka się rodzajowość. Również ilustracje, choć piękne, grzeszą ideową niekonsekwencją, jak reprodukcje z piętnastowiecznej Hagady Norymberskiej, ukazujące Izraelitów w kostiumach z epoki, przeprowadzających się za pomocą aniołów pańskich przez Morze Czerwone, gonionych przez wojska faraona: konnicę ze wzniesionymi w górę proporcami...

„Samo życie” wyziera też z ramek, w jakie dla przejrzystości postanowiono oprawiać sentencje i złote myśli słynnych rabinów i cadyków. Są też pełne specyficznego humoru i mądrości anegdoty, jak ta o osiemnastowiecznym rabim Jakubie Krantz z Dubna, który spytany przez żołnierza na strzelnicy jak to się dzieje, że trafia w same dziesiątki, odpowiedział, że najpierw strzela, a potem dopiero

obrysowuje kółka wokół przestrzelin. Taki też był sekret jego sukcesów kaznodziejskich. Najpierw bowiem trzeba trafić w sedno problemu, dopiero wokół tego dobudowywać resztę.

Skrajnie inną postawę reprezentował współczesny Krantzowi uczony w Piśmie Gaon z Wilna, który spędził całe życie zamknięty na poddaszu, w całkowitej izolacji od plebsu. Tak jednak kochał humor Jakuba, że w chorobie wzywał magida z Dubna, by ten go „rozweselił i ożywił”. Tak więc to, co było intelektualnie na dwóch biegunach, na gruncie „żydowskości” potrafiło się spotykać, uzupełniać, wzajemnie akceptować.

Encyclopaedia of Judaism jest owocem kooperacji osiemdziesięciu uczonych. Stąd, pisze Raphael, paradoks, że części przewyższają całość przedsięwzięcia. Ze świetnymi, wyczerpującymi, analitycznymi hasłami o etyce, mistycyzmie czy Biblii, sąsiaduje mniej udany artykuł o teologii. Obok tekstu poświęconego zwyczajowym prawom religijnym (halacha), jest tekst „Halacha i technologia”, z jednej strony rozważający, na ile prawa owe mogą

M.Y.

Kto by pomyślał? Trzy lata upłynęły od jej śmierci, trzy miesiące od chwili, gdy opuszczony fotel po pierwszej damie w Akademii Francuskiej zajął ktoś inny, a już ukazała się pierwsza biografia (u Gallimarda), naprawdę rewelacyjna, blisko 600 stron ze zdjęciami. Książka, którą chciałoby się samemu napisać, dokument, powieść policyjna i rozprawa naukowa, nie goniąca za sensacją, ale wyzbyta minoderii, nie ukrywająca pasji, miłości, ciemnych stron życia, słabostek, lęków, wahań. Biografia M.Y. Opowieść o życiu Marguerite Cleenewerk de Crayencourt, znanej jako Marguerite Yourcenar.

Tak się składa, że spośród poważnych francuskich intelektualistów kobietami interesowała się tylko M.Y. Przez wiele lat zamknięta na wyspie Pustynnych Gór, otulona kilotrami szali i chustek, nekająca wydawców i obrażająca się na krytyków, którzy choćby o ówczesny ton ściszały hymny ku jej chwale, wypisująca listy protestacyjne do fabrykanta wafelków, które tonami pochłaniała, że wkłada on do opakowań zabawki z plastiku – żyła nie tylko mitologią grecką i historią Rzymu.

Josyane Savigneau wspomniała dopiero na 440 stronie swej biografii, że utrzymywała z M.Y. „stosunki osobiste”, chociaż już od wczesnej młodości obcowiała z książkami autorki *Pamiętników Hadriana*. A młodość jej bohaterki?

Zakochała się w jakimś André Fraigneau, który – jak czytamy w *Coup de grâce* – „odczuwał do kobiet nieprzearty wstręt”. Do M.Y. również. Zaczęły się wizyty w damskich barach przy ulicy Mont-Thabor (pomiędzy Kościołem Polskim i Tuleriami), pośpieszne uściski o wilgotnych zmierzchach w „Thé colombin”, krótkotrwała idylla z nazbyt piękną Lucy Kirakos, aż do owego wiosennego popołudnia 1937, kiedy M.Y. spotkała Grace Finck. „Dzieliła z nią dom” na wyspie (cytat z biografii Savigneau) aż do śmierci Gráce (tak pisała zawsze jej imię, ten daszek nad „a” aż nadto wymowny).

„Życie jest – w pewnym sensie – bałaganem” – napisała M.Y. w roku 1968, po ukazaniu się *L'Oeuvre au noir*. Ale nie zapominajmy, że tę diagnozę przeznaczają

być pomocne przy rozwiązywaniu problemów piętrzonej przez nowoczesną technologię, z drugiej strony, na ile technologia, komputery, mogą być przydatne przy studiowaniu i przestrzeganiu tych praw.

Brakuje może generalnego podkreślenia, że święte księgi judaizmu, jak Tora czy Biblia, są to najstarsze i pierwsze dokumenty, których postanie przeznaczone jest dla ludu w ogóle, nie tylko dla kapłanów i uczonych. Nie dla elit, tylko dla tłumów. Świadczy o tym wzruszające odkrycie materialne, jakie miało miejsce w 1986 roku na górze Syjon. Odnaleziono tu dwa srebrne amulety z czasów Pierwszej Świątyni (VII wiek przed Chrystusem). Inskrypcje na nich wyryte zaczynały się od słów „Niech cię Bóg twój błogosławi i ma w opiece...”. Błogosławieństwo to przetrwało w niezmiennym formie przez trzy tysiące lat i jest do dziś najpopularniejszą sentencją używaną przez religijnych żydów i chrześcijan. Jego zaś historia jest historią demokratycznego procesu przemian – będąc na początku błogosławieństwem kapłańskim, szybko stało się własnością wszystkich ludzi. Biblia jest przede wszystkim wielkim Wzorcem – jako czynił Bóg, tako i my czynimy.

Opr. Hanna Baltyn

ła dla Zenona, bohatera powieści, flamandzkiego alchemika i homoseksualisty, „żyjącego ciągłą ucieczką, na fałszywych papierach”. Starala się wprowadzić do życia porządek dość dziwny. Dlaczego z premedytacją opracowała najzupełniej fałszywe tablice chronologiczne do wydania swych dzieł w Plejadzie, dlaczego wyznała to najspokojniej w świecie Josyane Savigneau i pozwoliła na wykreślenie zupełnie innych zarysów biografii? Mądrość starości? Dobroliwa mściwość, nonszalacja, podobna kozackiemu zacięciu Nadzieży Mandelsztam, gdy udzielała ostatniego wywiadu? Opętanie inną skórą?

Opublikowana przez Gallimarda biografia przywraca M.Y. życiu. Wiadomo, że M.Y. spaliła przed śmiercią bardzo wiele dokumentów, setki listów obłożone pieczęcią spoczywają w sejfie, ale wiadomo też, że Josyane Savigneau pracowała nad swą książką od dawna i do bardzo wielu źródeł miała ułatwiony dostęp. Najciekawsza w opowieści o przygotowaniach duszy i ciała M.Y. jest ciągła gra wyobraźni. M.Y. zbudowała swój obraz bardzo starannie na długie lata i już prawie



JACEK GAWŁOWSKI

wszyscy uwierzyli w legendę o wieży z kości słoniowej, aż do dnia, kiedy pewien dziennikarz, nazwiskiem Matthieu Galley, wylądował na wyspie i stwierdził, że M.Y. nie mieszka sama. Galley zanotował (24 grudnia 1978 roku) w drugim tomie swego *Dziennika* (Grasset, 1989):

„Zamiast starej wieśniaczki przyjął

mnie ktoś w rodzaju zmumifikowanej gwiazdy, moszczącej się w sutym szlafroku w kolorze cynobru, oczy ubarwione, fałdy udrapowane, pomalowane paznokcie. Krucha i uroczą, jak wyspę płaszczy zamknięte w klatce czystości willi.

Usiadłem u jej stóp i starałem się nawiązać rozmowę, co okazało się trudne, szczególnie ze względu na męczącą obecność ubranej po męsku cerberki. Ładna historia. Wyznała, że nie ma odwagi pisać, że męczy ją myśl o powrocie do rozpoczętej autobiografii.

Ja: „Ależ trzeba, koniecznie. Tak wielu ludzi oczekuje tej książki. Nawet zwykli Francuzi jak ja, zupełnie nieznani, czytelnicy z całego świata, wielbiciele Pani talentu”.

Ona: „Tak pan sądzi? Ale nie mam ani odwagi, ani woli”.

Ja: „Ależ tak, tak, trzeba, trzeba, dla dobra nas wszystkich”.

Ujrzałem, jak samotna liza rozpoczyna drążyć tusz na rzęsach.

Ona: „Może, może ma pan rację. Pocięsza mnie pan”.

Teraz ja poczułem swędzenie pod powiekami.

Ucałowaliśmy się czule, jak para starych przyjaciół.”

W innym miejscu *Dziennika* Matthieu Galeya opowiada o spotkaniu ze wspomnianym już André Fraigneau, który opowiadał, jak popierał M.Y. u Grasseta, gdy pisała pierwsze powieści i trzeba było to jakoś przepchnąć, i dodawał, że chyba kochała się w nim i w Boudot-Lamotte, a potem szybko przeszedł do szkicowania paryskiego *gay life*.

Nadeszły takie czasy, że nikomu nie można zaufać.

Krzysztof Rutkowski

Paryż, 4 X 1990.

W maju 1990 roku pojawił się nowy periodyk o profilu literacko-filozoficzno-politycznym „La Règle du jeu” („Reguła gry”).

Redaktorem naczelnym jest Guy Scarpetta, a dyrektorem jeden z „nowych filozofów” Bernard-Henri Levy. Nowemu czasopismu patronują między innymi: Andrei Bitov (Leningrad), Carlos Fuentes (Mexico), Tadeusz Kantor, Tadeusz Konwicki, Czesław Miłosz, Amos Oz (Jerozolima), Mario Vargas Llosa (Lima), Salman Rushdie (?).

W artykule redakcyjnym czytamy, że powstanie pisma akurat w momencie śmierci systemu i ideologii komunistycznej, nie jest dziełem przypadku. „Komunizm, który był niedługo marzeniem ludzkości, teraz okazał się koszmarem... Przyciągając lub odpychając, stanowił stały punkt odniesienia: analiz, buntów, rozczarowań. Upadek komunizmu i związany z tym koniec wszystkich dyskusji i obsesji, które inspirował (...) zostawia za sobą pustkę, pojawiającą się zazwyczaj w miejsce ulegających rozkładowi świeckich religii. Tę pustkę należy nie tylko wypełnić, co eksplorować.” Zmiany jakie się dokonały w ostatnich miesiącach 1989 roku w Europie Wschodniej oraz problemy z jakimi borykają się społeczeństwa odkrywające wolność i demokrację wymagają, zdaniem autorów, głębokiej refleksji, tym bardziej, że „z głębi tej Europy... dochodzą do nas również i takie głosy, których mieliśmy nadzieję już nigdy nie usłyszeć.” Redaktorzy „La Règle du jeu” przewidują, że „Europa, która wyłoni się ze zgiełku będzie na nowo podzielona – już nie granicą imperium rozdzielającą dwa rodzaje państw o odmiennych systemach politycznych, ale linią mniej wyraźną, która przebiegać będzie w każdym kraju: z jednej strony Europa nacjonalistyczna, wysuwająca na plan pierwszy tożsamość, Europa regresywna, populistyczna; z drugiej strony Europa otwarta, demokratyczna, kosmopolityczna”. Redaktorzy nie kryją, za którą z nich się opowiadają i przypominają, że „pokusa populizmu szowinistycznego istnieje również we Francji.”

W „Notesie”, artykule wprowadzającym Bernard-Henri Levy, znajdujemy jego zapis z podróży po Niemczech, Czechosłowacji, Węgrzech, Polsce, Rumunii i Bułgarii, którą odbył między listopadem 1989 a marcem 1990 roku.

Reguła gry

Artykuł jest rodzajem bilansu szkód wyrządzonych przez komunizm. Autor uważa, że w umysłach ludzi długo jeszcze pozostaną ślady starego systemu. Poza tym, francuskiego filozofa uderza wspólna dla wszystkich tych narodów autoproklamacja narodowego mesjanizmu. Na przykład naród bułgarski to „jeszcze jeden Chrystus narodów, który podobnie jak Polacy, przeszedł drogę od największej sławy do największej niedoli – po czym na nowo uwierzył w możliwość własnego zmartwychwstania”.

W pierwszym numerze „La Règle du jeu” znajdujemy wywiad z Tadeuszem Kantorem. Guy Scarpetta spotkał się z Kantorem w zeszłym roku w Krakowie i sztuka oraz osobowość twórcy teatru Cricot wywarły na nim wrażenie do tego stopnia, że nazywa go swoim „Goyą”. „Kantor? To ten, który sonduje drugą stronę, noc. Trzeba to sobie uzmysłowić: odkopywanie pamięci o Europie której już nie ma (...) Wydaje się, że intelektualiści francuscy dopiero zaczynają zdawać sobie sprawę z prawdziwej klęski która dotknęła „Drugą Europę” i z tego, że przez prawie pół wieku Europa była pozbawiona jednej integralnej jej części”. Kantor twierdzi, że nigdy nie stanie po stronie

władzy, jakkolwiek by była, nigdy po stronie użyteczności. Zło chce on oswajać, a nie usuwać. Zawsze będzie istniał jakiś „mur”, nawet gdy wolność polityczna została już zdobyta – mur bez którego autentyczna sztuka nie może zaistnieć. Obecnie może nim być pewien rodzaj „masowej konformistycznej kultury katolickiej...” Kantor zastanawia się czy mur komunistyczny i dogmaty „sorealizmu” nie zostaną zastąpione „ruchem spirytualistycznym, katolickim” i czy ten właśnie nurt nie stanie się nowym nurtem oficjalnym, urzędowym. Kantor uważa, że sztuka nie jest „odzwierciedleniem życia”, lecz „odpowiedzią na życie”. Należy więc zachęcać ludzi do szukania odpowiedzi, a nie do odtwarzania rzeczywistości. Celem artysty jest stworzyć inną rzeczywistość, przeciwstawiającą się tej już istniejącej. „Sztuka nie powinna leczyć społeczeństwa, ale być raczej trucizną...”

Aby tworzyć Kantor – kosmopolita musi mierzyć się z murem i po to wraca ciągle do siebie, do Polski. Proponuje dążyć do uniwersalizmu mimo własnych korzeni ale i ich nie negując.

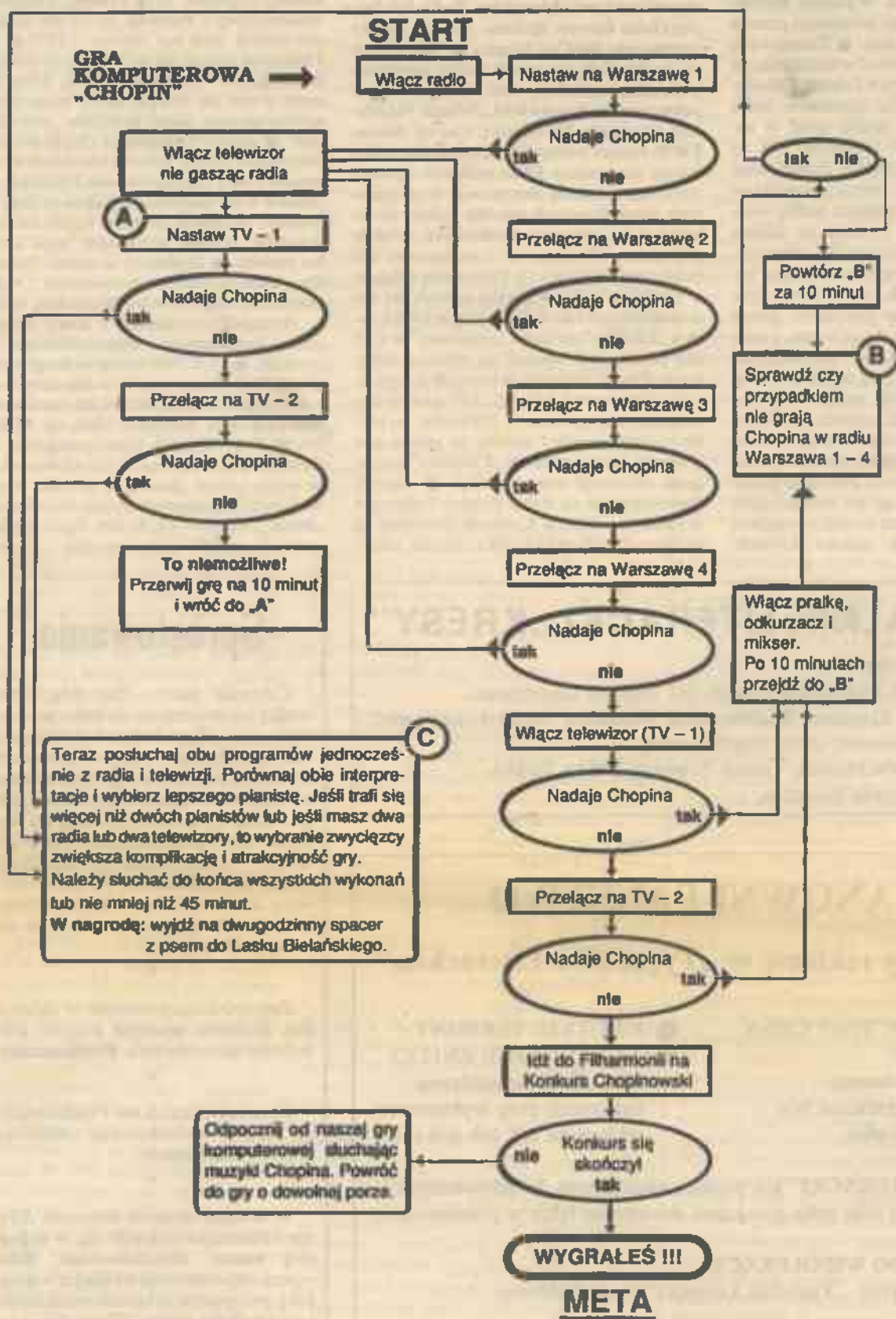
Obywatel Wielopola ogłasza wyższość sztuki nad polityką, nad sprawami społecznymi wszechobecnymi w Polsce oraz podkreśla nieuchronność i potrzebę konfliktu między sztuką i społeczeństwem: „sztuka ma sens tylko wtedy gdy istnieje między nią a życiem społecznym, polityką i władzą ciągłą sprzeczność...”

Sztuka jest w swej istocie buntownicza i artysta nie może zgodzić się na jej wykorzystanie, nawet w dobrych intencjach. Dobre intencje są chyba największym wrogiem sztuki. W rezultacie, artysta jest zawsze przeklęty, jak na przykład Kantor za swe „odstępstwa od wiary i antypatriotyzm”.

Poglądy ekstremalne? Francuskiemu czytelnikowi przypominają być może poglądy Jean Dubuffet w jego książce *Asphyxiant culture* (Editions de Minuit, 1967), a czytelnikowi polskiemu prawdopodobnie Gombrowicza.

Isabelle Macor-Filarska

Gra komputerowa „Chopin”



Pomysł: Krzysztof Knittel

Grafika: Krzysztof Szlifirski

Uwagi do gry komputerowej „Chopin”:

1. Jeśli w trakcie gry nagle przestali nadawać Chopina, to przerwij grę zostawiając wszystko włączone, aby nie uszło Twojej uwadze nagłe ponowne pojawienie się Chopina w RTV, i zacznij z miejsca, w którym przerwałeś lub z innego, do którego doprowadziło Cię nagle pojawienie się Chopina w innym programie niż poprzednio.
2. Jeśli pralka, odkurzacz i mikser są jeszcze włączone, staraj się nie zwracać na nie uwagi, skupiając się wyłącznie na muzyce Chopina.

RADIO **SOLIDARNOŚĆ** UKF 73,2 MHz

- stacja warszawska
- program 24 godziny na dobę
- telefon do studia: 635-88-88

- Biuro Reklamy i Ogłoszeń: ul. Konwiktorska 7, 00-216 Warszawa telefon: 635-80-36, 635-92-93

Niewątpliwą atrakcją naszego życia (pomijając błyskotliwe wypowiedzi Lecha Wałęsy, relacje z plaż naturystów i strajki głodowe na Kamczatce) są zjazdy i kongresy wszelkiej maści. Ktoś odkrył, iż naturalną glebą dla demokracji jest spotkanie się w jednym miejscu kilkuset facetów nie mających nic do powiedzenia, ale za to lubiących się spotykać.

Telewizja rejestruje tego typu spotkania, wspierając repertuarowo swe marne bloki rozrywkowe.

Uczestnicy spotkań liczą na to, iż być może dzięki taśmie celuloidowej ich myśli osiągną nieśmiertelność. Poza tym, nie można wykluczyć takiej sytuacji, gdy ktoś, hen daleko w betonowym wieżowcu, w jakimś mieście czy zapadłej wiosce, spojrzy na nich wreszcie z sympatią pomiędzy jednym kęsem kapusty a drugim.

Imprezy takie jak Ostatni Zjazd PZPR czy Pierwszy Kongres Prawicy Polskiej na długo pozostaną w pamięci milionów wystraszonych widzów na całym świecie.

gabinet cieni

Od Łysej Góry Po Salę Kongresową czyli coś z życia zjazdowego...

Warto być może przypomnieć pokrótce historię tego typu spotkań.

Tradycja kongresów sięga początku XIX wieku kiedy to na Łysej Górze spotkały się zasłużone czarownice Polski Centralnej. W miarę upływu lat ruch zjazdowy rozwijał się, potężniał, nabierał rumieńców i rozpędu. Wkrótce po śmierci Draculi w 1948 roku, zebrał się w Warszawie pod przewodnictwem diabła Boruty, historyczny tak zwany Kongres Zjednoczeniowy, na którym potępiono miotłę jako drobnomieszczański przeżytek, dając poparcie bardziej nowoczesnym i proletariackim tramwajom. Warszawa z czasem odebrała Łysej Górze palmę pierwszeństwa, stając się ulubionym miejscem złotych.

Obecnie w trakcie bulgoczącej sanacji kapitalistycznej, każdy kto tylko porusza się o własnych siłach (choć są wyjątki) zjeżdża się i kongresuje. Od emerytowanych donosicieli i szpiegów po nerwicę demokratyczną, od aktualnej arystokracji i ziemianstwa po byłych chłopów pańszczyźnianych. Ilość zjazdów na głowę jednego mieszkańca, przekroczyła już wszelkie dopuszczalne, światowe normy i wynosi 3,78001 - co według skali Kaczora Donalda jest dawką śmiertelną.

Najnowszym hitem jeśli chodzi o ten typ zbiorowych perwersji był odbyty w Strzelcach Opolskich Zjazd Kryminalistów Rzeczypospolitej. Zjazd przebiegał w spokojnej atmosferze, praktycznie bez udziału dziennikarzy, skinów i ekip telewizyjnych.

W zjeździe uczestniczyło zaledwie trzech zaproszonych dziennikarzy, dwóch z „Prawa i Życia” i „Gazety Demokratycznej” i jeden z niezależnego pisma środowisk przestępczych „Głos Puchy”.

Podczas zjazdu analizowano sytuację bytową kryminalistów w poszczególnych regionach kraju. Uczestnicy Zjazdu uważają, iż społeczeństwo bardzo często nie dostrzega problemów ich środowiska. Drożeją wytrzychy i lomy. Ceny kastetów, noży i pończoch poszły niesamowicie w górę. Kieszonkowcy skarżą się na brak ostrych żyłek. Na rynku brak jest podstawowych narzędzi do pracy dla kasiarzy, włamywaczy i dusicieli. Ci, którzy pragną uprawiać rozboje z bronią w ręku, z rozpaczą wychodzą na ulicę z gołymi rękami.

Obok ciemnych są i jasne strony życia kryminalistów. Zjazd docenił na przykład obniżenie się poziomu wykrywalności przestępstw (specjalny telegram z podziękowaniami wysłano na adres ministra Kozłowskiego). Mimo ogłoszonej nie tak dawno amnestii, na zjeździe nie pojawiło się wielu zasłużonych, o dużym autorytecie moralnym kryminalistów, którzy do tej pory przebywają w ośrodkach odosobnienia na tak zwanych urlopiach bezpłatnych.

Wydarzeniem stało się przemówienie Zygi Grzechotnika, delegata ziemi sieradzkiej, który zaproponował utworzenie w Gdańsku i w Warszawie Wyższej Szkoły Włamywaczy, by szkolić młodzież i podnieść poziom polskich włamań do poziomu europejskiego. Tomasz Moneta, specjalista od oszustw (par. 205), delegat okręgu Wrocław-Śródmieście, złożył wnioszek o zakładanie spółek z udziałem kapitału zagranicznego (zainteresowane są ponoć Camorra, Cosa Nostra i Czerwone Brygady). Spółki te miałyby przejąć kontrolę nad wszystkimi pizzeriami w Polsce. Ponadto kontrolowałyby pucybutów, grę w pchełki i handel wodą mineralną w Śródmieściu.

Na zakończenie zjazdu wystąpiła Krystyna Tasak, legendarna meliniara z białostockiego, która żonując butelkami denaturatu odtańczyła zbranym „zbójnickiego”.

Po odśpiewaniu Międzynarodówki Kryminalistycznej zbrani zorganizowali zbiórki pieniędzy na Fundusz Rozwoju Bandytyzmu. Zjazd zakończył się rozrywkowo - meczem piłkarskim „Kieszonkowcy contra Malwersanci”.

Krzysztof Skiba